Nr. 1 i 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XXII.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1920.

TREŚĆ ZESZYTU:



X. FRANCISZEK VERDIER
nowy Przełożony Generalny.

Mamy nowego Ojca Generała!

Nie pamięta historya Zgromadzenia w naczelnym zarządzie naszym tak prędko po sobie następujących zmian, jakie przeżyliśmy w latach wojennych. Po X. Antonim Fiat nastąpił 31. lipca 1914 r. X. Emil Villette, który jednakże krótko rządził Zgromadzeniem, bo już 7. listopada 1916 r. umarł. Po nim zarząd Zgromadzenia objął w swoje ręce 8. listopada 1916 r. X. Alfred Louwyck jako wikaryusz generalny, a gdy i ten wkrótce umarł, X. Franciszek Verdier, również jako wikaryusz generalny od dnia 18. lutego 1918 r.

Na konwencie generalnym dnia 30. września 1919 r. wybranym został X. Franciszek Verdier na Przełożonego Generalnego obydwu Zgromadzeń św. Wincentego.

Podamy najważniejsze daty z jego życia.

Obecny nasz Najczcigodniejszy O. generał urodził się dnia 1. marca 1856 w Lunel, w dyecezyi Montpellier, miał więc w chwili wyboru na Przełożonego Generalnego lat 63. Do Zgromadzenia przyjętym został 7. grudnia 1874, mając lat 18. Śluby składał 8. grudnia 1876 r. wobec O. Boré, ówczesnego przełożonego generalnego.

Swięcenia kapłańskie przyjmował w r. 1880, w 25. roku życia. Wtedy też posłano go do seminaryum dyecezalnego w Nizzy, gdzie zostawał przez 7 lat, t. j. aż do roku 1887. W tym to roku złożył doktorat św. teologii w Rzymie, a w roku następnym doktorat filozofii. Od 1887 do 1893 był dyrektorem seminaryum dyecezalnego w Marsylii, potem zaś od 1895 do 1903 superyorem w seminaryum dyecezalnem w Montpellier. Ponieważ seminarya alumnów w Francyi zamknięto dla Misyonarzy, zamianowano go superyorem seminaryum w Noto, we Włoszech. Na konwencie generalnym 1914 r. wybranym został na asystenta Zgromadzenia a śmierć X. Louwyck'a (17. lutego 1918 r.) oddała w jego ręce ster rządów Zgromadzenia; od tej chwili aż do 30. września 1919 r. był wikaryuszem generalnym.

Dodajmy jeszcze, że patronem nowego O. Generała jest św. Franciszek Ksawery, którego święto obchodzi się 3. grudnia.

Przez długie miesiące wojenne czuliśmy się sierocem Zgromadzeniem. Sieroctwo nasze się skończyło, już mamy Ojca. Konwent Go nam dał. A jak szczęśliwi byli w domu macierzystym ci wszyscy, którzy po wyborach 30. września mogli się zbliżyć doń i w szacunku pełnem ucałowaniu ręki złożyć hołd Wybrańcowj Pańskiemu, *Electus Domini*, i wyrazić Mu życzenia *ad multos annos*, tak i my podzielając ich radość życzymy z głębi duszy długich lat szczęścia i błogosławieństwa Bożego.

Rzut oka na losy Zgromadzenia w latach wojennych.

Podajemy niniejszem w całości przemówienie X. Wizytatora, którem zagaił pierwszą sesyę konwentu prowincyonalnego dnia 23. sierpnia ubiegłego roku. Wiernie ono oddaje dolę i niedolę Zgromadzenia naszego przez lata klęsk publicznych, i z odległości pięcioletniej wykazuje nam niezaprzeczone objawy opieki Opatrzności Bożej nad nami. Znają je i pamiętają konfratry, którzy udział brali w konwencie prowincyonalnym, ale niech poznają je i inni, abyśmy wszyscy uświadomili sobie, dlaczego nam, którzyśmy szczęśliwie przebrnęli burzliwe morze klęsk wojennych i kaźni Bożych, zgłębi duszy przejętej uczuciem wdzięczności wołać trzeba: *Cantemus Domino*. Oto brzmienie przemówienia:

Carissimi ac Venerabiles Confratres!

Witam Was jak najserdeczniej, gdyście się zebrali na ten sejm ukochanej prowincyi naszej na tem samem miejscu, gdzie zdaje się tak niedawno jeszcze tak samo zebraniśmy byli. Tymczasem przedziela nas od tej chwili straszne, czerwone morze, które, uwierzyć nam to trudno, szczęśliwieśmy przebyli. To też za słowami powitania cisną mi się na usta słowa zachęty z którymi zwrócił się niegdyś do ludu wybranego, wielki przewódca jego, kiedy się znaleźli na drugim brzegu morza czerwonego: *Cantemus Domino, gloriose enim magnificatus est, equum et ascensorem dejecit in mare* (Ex. XV. 1.). Tak niedaleko od nas zdaje się ten konwent ostatni, a jednak straszne przeszliśmy po tym ostatnim konwencie morze i dreszcze grozy jeszcze dzisiaj budzą w nas

te przepaściste wiry, które pochłonąć nas chciały, a tymczasem jakże podobniśmy dzisiaj do tego ludu bożego, co stanąwszy po drugim, bezpiecznym już brzegu morza i obejrzawszy się wstecz „widzieli Egipcyany martwe na brzegu morskim i rękę wielką, której użył Pan przeciwko nim".

Wielki wielkością nadzwyczajnych niebezpieczeństw i wielkością cudów bożych, które się nad nami spełniły, jest ten rozdział historyi naszej prowincyi wraz z historyą narodu naszego, który jest zamknięty między poprzednim, a obecnym konwentem naszym. Wybrani przez konwet ostatni deputaci, cudownie prawie przedostali się wraz ze mną do domu przez gromadzące się wały wojsk z Paryża, gdzie konwentu generalnego nie pozwoliły nam dokończyć straszliwe błyskawice, co zapowiadały okropną burzę wojenną, która już szaleć poczęła. Kiedy wróciłem do domu centralnego i zdołałem się rozpatrzeć w położeniu, zwątpienie ogarnąć mnie chciało zupełne, tak straszne było położenie nasze. Z domu tego całkowicie wyrzucić nas postanowiła szalejąca w swej głupocie i zamięszaniu austryacka sołdateska, która po wysiłkach nadzwyczajnych i zabiegach naszych zostawiła nam do naszego użytku domu zaledwie połowę — bo resztę zamieniła na szpital. Ale i ta połowa domu wkrótce nie była przepełnioną, bo wszystką prawie młodzież naszą i wielką część księży terrorem swoim do wojska ściągnęła władza niemiecka. Zawisła nad nami groza, że z prawie całą nieszczęśliwą ludnością Krakowa, miasto to opuścić będziemy musieli, a dom z kościołem — z którego już magazyn zrobić myślano, zostawić na pastwę tyranii wojskowej. Jakże wdzięcznie odczuliśmy wtedy poczciwość niemieckich konfratrów naszych w Gracu, w których imieniu Wizytator tamtejszy w liście swoim do mnie oświadczył, że jeśli ewakuowani z Krakowa domy nasze opuścić będziemy musieli, drzwi ich domów otwarte są dla nas i zapraszał abyśmy z pozostałą nam młodzieżą do nich się przenieśli. Przyłączyła się do tego zabijająca nas troska o środki materyalne, aby utrzymać można i wyżywić tę część młodzieży, która nam została.

Zdawało się, że kiedy twarde serca austryackich jenerałów można przecie było wreszcie wzruszyć i nie wypędzili nas z domu naszego, wypędzi nas od nich jeszcze nieubłagańszy głód i brak środków materyalnych. — W tak strasznym ucisku byliśmy tu w Krakowie przez miesięcy kilka jak na strasznej wyspie odcięci od wszystkich innych domów a szarpani troską i niepokojem o nie. Boć jak Ojczyzna nasza nieszczęśliwa podzielona była i cała prowincya nasza rowami i liniami wojennymi. A wieści, jakie się przez te linie dostawały o nich do nas, kazały nam zapominać o strasznem ucisku naszym, bo jak te wieści, dzięki Bogu czysto fałszywe, niosły, im było jeszcze gorzej. I kiedy te wody potopu, co piętrzyły się nad nami zalać nas były winne, one nam były „jako miasto muru" i przeszliśmy, powiedzieć mogę suchą nogą. Nauka młodzieży naszej i w tym domu i w małem seminaryum, nie doznała prawie przerwy, wyżywić tę młodzież i przyodziewaćeśmy zdołali. I kiedy tych, co Ojczyznę naszą rozćwiartowali niegdyś, a domy naszego Zgromadzenia pozamykali i zagarnęli, a Ojców naszych na tułaczkę skazali „głębokości okryły je, poszli w głębię jako kamień" (Ex. XV. 5.) i widzieliśmy je martwe na brzegu tego morza krwi, w którem nas potopić myśleli, my dzisiaj w Ojczyźnie naszej zmartwychwstałej i wolnej, z przedstawicielami od św. Krzyża, i z drugiego domu z Warszawy i z trzeciego jeszcze domu z tamtąd, gdzie zdaje się jakoby wczoraj jeszcze stopa Misyonarza postać nie mogła, zeszliśmy się razem, aby radzić między innymi i nad tem, jak podołać temu wielkiemu żniwu, które roztworzył przed nami miłosierny nasz Pan. Spojrzyjmy na tę listę, która tam ogłasza imiona tych z pomiędzy których deputatów na konwent generalny wybierać możemy. Podaje nam dzisiaj po tej zawierusze wojennej nazwisk 120, kiedy na tem samem miejscu zawieszona lista na konwencie poprzednim miała ich 100. A przecież z tamtej listy jeszcze i śmierć nieubłagana kilka nazwisk przez ten czas wyrwała. I ponad wszelką nadzieję zebraliśmy się tu tak licznie; ze wszystkich domów ojczyzny naszej są

przedstawiciele. Nie ma prawda tak upragnionych konfratrów z jednej i drugiej Ameryki, ale mamy od nich wiadomości i wiemy że tylko trudności podróży im przeszkodziły, że nie ma ich tu między nami. Prawda, że nie obyło się bez strat między nami. Opłakiwali ruiny swych domów niektórzy konfratrzy, śmierć na polu walki uniosła z pomiędzy naszych także swe ofiary, ale jak mało stosunkowo tych ruin, jak jeszcze wyrozumiała dla naszych wśród walki była śmierć!

Z pomiędzy księży naszych do wojska pruskiego było powołanych 25, do wojska austryackiego 4, we wojsku polskim obecnie jest 3. Kleryków powołanych do wojska było 41. Braci do wojska pruskiego 7, do austryackiego 10. — Z pośród tak wielkiej liczby straty są następujące: Z księży powołanie stracił 1. Z kleryków poległo 6, jeden zaginiony czy poległ, dymisyę otrzymali lub wkrótce otrzymają 4, jeden jeszcze w niewoli angielskiej, dwóch jeszcze nie wróciło, nie wiadomo dlaczego, do wojska polskiego przeszło 5. Z pomiędzy Braci poległo 5, nie wróciło (przed ślubami św.) 5, do wojska polskiego przeszło 2.

I znowu dom się nasz zapełnia i domy inne prawie wszystkie wróciły do normalnego życia. Jakże więc *Carissimi ac Venerabiles Confratres* nie było mi odezwać się do Was: „Śpiewajmy Panu, chwalebnie bowiem uwielbiony jest“. Pragnę też gorąco, abyśmy, kiedy po raz pierwszy tak razem zebrani spojrzeliśmy wstecz i takie spostrzegliśmy cuda Opieki Bożej nad nami, żebyśmy jak najskwapliwiej pospieszyli razem przed ołtarz i wyznali uroczyście: „Moc moja, i chwała moja Pan i stał mi się zbawieniem“ (Ex. XV. 2.).

Konwent prowincyonalny.

O parę miesięcy naprzód był zapowiedziany konwent generalny, żeby dosyć było czasu na zorganizowanie konwentów domowych i prowincyonalnych. Na czoło spraw i interesów Zgromadzenia, które miały stanowić przedmiot prac konwentu generalnego, wysunęły się dwie sprawy,

a mianowicie: wybór nowego Przełożonego Generalnego i stanowisko nasze wobec nowego kodeksu prawa kanonicznego. Pod tym kątem widzenia odbyć się też miały zarówno konwenty domowe i prowincyonalne jak i wybory deputatów na konwent generalny.

Dla naszej prowincyi oznaczył X. Wizytator dzień 23. sierpnia 1919 r. jako dzień rozpoczęcia konwentu prowincyonalnego. Przed tym więc terminem miały się odbyć w prowincyi całej konwenty domowe celem wybrania delegatów na konwent prowincyonalny.

Wszyscy deputaci, o ile byli wybrani, wiernie stawili się na czas oznaczony w Krakowie, tak że konwent prowincyonalny mógł się rozpocząć rzeczywiście 23. sierpnia 1919. Była to sobota. O drugiej godzinie popołudniu już urzędowała komisya do sprawdzania instrumentów poselskich, składająca się z X. Wizytatora i dwu najstarszych powołaniem superyorów. Byli nimi w tym dniu X. Buchhorn i X. Rossmann. Punktualnie o godzinie trzeciej zaczęła się pierwsza sesya konwentu prowincyonalnego na Stradomiu w wielkiej i pięknej sali przylegającej do kościoła nad zakrystyą. Po modlitwie zagaił sesyę X. Wizytator przemówieniem, w którem skreślił dowody opieki Bożej nad prowincyą naszą przez długi przeciąg ciężkich lat wojennych a czując, że mówi do konfratrów z głębi duszy oddanych celowi konwentu, w krótkich słowach wskazał na kierunek, w którym toczyć się winny obrady dni następnych. W poczuciu wdzięczności za opiekę doznaną w czasie wojny, zaproponował X. Wizytator, żeby wszyscy XX. Superyowie i deputaci obecni w dniu następnym, uczestniczyli we mszy sw., która się odbędzie na podziękowanie P. Bogu za opiekuńcze rządy Opatrzności Bożej nad prowincyą w latach wojennych i nad Ojczyzną naszą, której po tylu latach niewoli wreszcie dał doczekać się wolności i swobody, zmartwychwstania i zupełnej niepodległości, o której dotąd tylko w poezyi i w błagalnej modlitwie mogliśmy marzyć.

Nastąpił wybór sekretarza i asystenta konwentu. Z urny wyborczej jako asystent konwentu wyszedł X. Buchhorn, który też zaraz zajął miejsce po lewej ręce X. Wizytatora, a jako sekretarz wyszedł znaczną większościa głosów X. B. Szulc, który odtąd przez cały czas trwania konwentu urzędował po prawej przewodniczącego.

Na wieczną rzeczy pamiątkę podajemy spis deputatów:

Z Krakowa (Stradom)	X. Kryska	X. Michalski K.
„ (Kleparz)	X. Weiss Ant.	X. Szymbor
„ (N. Wieś)	X· Dihm	X. Rzymełka
Z Białego Kamienia	X. Wrodarczyk W.	
Z Jezierzan	X. Wrodarczyk F.	
Z Kaczyki	X. Grabowski	
Ze Lwowa	X. Krzyszkowski	
Ze Lwowa (M. Sem.)	X. Janiewski	
Z Miłatyna	X. Buchhorn	
Z Odporyszowa	X. Steinsdorfer	X. Dziewior
Z Pabjanic	X. Szulc	X. Kalla
Z Tarnowa	X. Rossmann	X. Brukwicki
Z Warszawy (św. K.)	X. Tyczkowski	X. Paszyna
Z Warszawy (Konw.)	X. Gaworzewski	X. Michalski W.

Nie przybyli na konwent konfratrzy z Północnej i z Południowej Ameryki, ale to dlatego, że trudności podróżowania aż do Polski były wtedy wprost niepokonane. Nie przybyli też deputaci z kilku domów Małopolski, z tej przyczyny, że zajęcia miejscowe (parafie) nie pozwalały im wyjeżdżać z domu.

W poniedziałek dnia 25. sierpnia, we wtorek i we środę sesye zaczynało się rano o godz. 9, a popołudniu o g. 3. W poniedziałek do południa dokonano wyboru deputatów na konwent generalny do Paryża. Zostali nimi:

1. X. Kryska 2. X. Michalski Konst.

a zastępcami ich:

1. X. Rossmann 2. X. Weissmann.

Następne posiedzenia, a więc w poniedziałek popołudniu, we wtorek cały i środę poświęcono obradom nad aplikacyą kodeksu kanonicznego do naszego Zgromadzenia i nad postulatami do Wizytatora prowincyi, do konwentu generalnego i do superyora generalnego.

Skończył się konwent prowincyi na ostatecznem sformułowaniu uchwał i wniosków i na podpisaniu ich wieczorem w środę, przyczem X. Wizytator zaprosił wszystkich uczestników konwentu na wycieczkę do Krzeszowic na dzień następny.

Dla dokładności sprawozdawczej dodam, że deputaci nasi na konwent generalny wyjechali z Warszawy dnia 15. września i przybyli do Wiednia po natrętnej rewizyi na pograniczu Czecho-słowacyi dopiero 16. września wieczorem. Po dłuższych staraniach udało im się tu uzyskać bilety na pociąg koalicyjny, tak że opuściwszy Wiedeń 19. września przyjechali z postulatami naszymi do Paryża w niedzielę 21. września rano. *X. W. S.*

Konwent generalny.

Na dzień 27. września 1919 roku zwołany był konwent generalny. Kto zna dzisiejsze trudności komunikacyjne, zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że znacznej liczby deputowanych zabraknie w Paryżu, byli i pesymiści, którzy z pewną trwogą myśleli o tem, że zbyt wiele prowincyi nie będzie mogło wysłać swoich deputatów. Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Z uznaniem i pociechą to podnieść należy, że wszystkie prowincye nawet najodleglejsze, wysłały delegatów, nie brakło ani jednej.

Najpierw przyjechali ci, którzy mieli najdalej: przedstawiciele obydwu prowincyi chińskich, wizytatorzy X. Desrumeax i X. Guilloux oraz deputaci: X. biskup de Vienne, X. biskup Reynaud, X. Flament i X. Schottey. Przybyli oni już 26. sierpnia. Ci zaś, co mieli najbliżej, przyjechali najpóźniej. Zobaczymy zresztą.

Nasi posłowie polscy przybyli 21. września.

Ale już wszystko tchnęło atmosferą konwentową. Nazajutrz bowiem po ich przybyciu przerwano zwyczajną lekturę przy stole a zaczęto czytać „Historyę Zgromadzenia„ przez X. Allou napisaną. Dnia 24. września przybyła największa liczba deputatów. Słychać przeróżne języki. Na reakcyi spotkał się delegat hiszpański z włoskim, brazylijski z madagaskarskim, turecki z filipińskim, polski z antylskim, później spotkali się francuski z niemieckim.

Nadchodzi dzień 27. września, 259 rocznica śmierci św. Wincentego a zarazem dzień otwarcia 28. konwentu generalnego. O godz. 9. z rana dzwonek oznajmił wszystkim u św. Łazarza, że zaczyna się pierwsze posiedzenie konwentu. Odbywa się w sali księży. Pod wielkim i kosztownym krucyfiksem jest biust św. Wincentego ustawiony na pięknym piedestale. Jest więc pierwszy O. Jenerał i Założyciel, a duch jego zebraniom przewodniczy. Z 31 prowincyi Zgromadzenia zasiada do obrad 95 przedstawicieli, w tem 4 biskupów. Na 1 sesyi wybrany został X. Fontaine, superyor domu międzynarodowego w Rzymie na sekretarza konwentu. Popołudniowe zebranie miało za cel wybór członków wielkiej komisyi. Wyszli z urny: X. Cazot, X. Veneziani, X. biskup Crouzet (Madag.), X. Mac Hale (Stany Zjedn.), nasz Wizytator X. Słomiński i X. Lobry (Turcya).

Dzień następny, niedzielę 28. września nazwano dniem umartwienia, modlitwy i rozmyślania, aby się przygotować na wybór przełożonego generalnego. Członkom konwentu nie wolno wychodzić z domu bez specyalnego pozwolenia. W różnych częściach domu wywieszono listy komisyi specyalnych, z których każda ma swój zakres działania. Jest więc 1) komisya dla spraw karności i ubóstwa, w niej prezyduje X. Meugniot; 2) komisya dla kształcenia i wychowania naszej młodzieży X. Delanghe; 3) komisya dla misyi wśród niewiernych i heretyków X. Guilloux; 4) komisya dla misyi ludowych X. Finney; 5) komisya dla seminaryów X. Romou; 6) komisya dla małych seminaryów i kolegiów

X. Damé; 7) komisya dla spaw liturgicznych X. Alpi; 8) komisya dla nowego kodeksu kanonicznego X. Arrambarri; 9) komisya dla spraw ekonomicznych X. Bettembourg.

W tymże dniu nadszedł telegram zaadresowany do X. Verdier z Rzymu. Jego treść taka:

„Za pośrednictwem błogosławieństwa apostolskiego, którego udziela Ojciec Święty konwentowi pod Twojem przewodnictwem zebranemu, uprasza On łaski i dary boże dla synów św. Wincentego".

Podpisany: Kardyn. Gasparri.

Dnia 29. września skonstruowano konklawe. Wyborcy zostaną w sali tak długo, dopóki nie wybiorą przełożonego generalnego. W obawie, że trwać to może długo, podaje im się chleb i wodę. Dwu księży, a mianowicie: X. Gleizes i X. Coury zamianowano stróżami i oddźwiernymi konklawe.

Wreszcie nadszedł dzień najważniejszy, 30 września. Zaraz rano X. biskup Crouzet, wikaryusz ap. Madagaskaru, celebruje mszę św. cichą, w której uczestniczą i komunię św. przyjmują wszyscy członkowie konwentu, nawet biskupi Reynaud i de Vienne, a taksamo i X Verdier wikaryusz generalny. [O 8. godz. zagajenie sesyi uroczystej. Przyniesiono kasetę, w której ś. p. Ojciec Villette powinien był złożyć nazwiska tych, których uważał za odpowiednich na urząd generalnego przełożonego. Najstarszy z powołania X. Beaufils pilnie strzegł kluczyka od kasety. Teraz jest na stole wikaryusza generalnego. Są prawie wszyscy obecni; wczoraj wieczorem przyjechali deputowani z Persyi i Meksyku, brak tylko jeszcze posłów niemieckich. Drzwi są podwójnie zamykane. Na środku stołu jest ołtarz. Na nim urna. Jeszcze jedno wezwanie Ducha św. Jeszcze raz się skupiają w rozmyślaniu kwadransowem. Prezydujacy daje absolucyę generalną. Wtedy każdy zapisuje swoją karteczkę wyborczą i zanim ją złoży do urny, bierze na świadka P. Jezusa, sędziego żywych i umarłych, że wybiera i mia-

nuje na Superyora Generalnego Zgromadzenia tego, którego uważa za najzdatniejszego na to stanowisko. Już miano przystąpić do przeglądu kartek, kiedy oznajmiono, że brakujący posłowie przybyli. Odrazu ich wprowadzają i jeszcze biorą udział w głosowaniu. Kiedy przeliczono głosy, okazało się, że znaczną większością niemal jednomyślnością, dotychczas niebywałą w historyi Zgromadzenia, przeszedł X. Verdier. On więc jest Superyorem Generalnym obydwu rodzin św. Wincentego. Bóg objawił swą wolę przez głosy konwentu. Zaraz też wszyscy padają na kolana i proszą o błogosławieństwo, pierwsze Jego błogosławiaństwo jako następcy św. Wincentego. Wszyscy odnawiają w duchu ślub posłuszeństwa i zbliżają się doń, aby z uszanowaniem ucałować jego rękę. W tymże momencie inni konfratrzy już się o tem dowiedzieli. Nie wyszedł wprawdzie kardynał i nie zawołał z balkonu: *Habemus Superiorem*, ale słyszano objawy aplauzu żywego. Ze wszystkich zakątków domu nadbiegają i pytają: Kto, kto jest wybrany? Dzwony domowe rozdzwaniają w całym rozmachu tę wieść, drzwi się na oścież otwierają i wszyscy: księża, studenci, seminarzyści, bracia spieszą ucałować rękę tego, któręgo wybrał sobie Pan, a więc: *Benedictus, qui venit in nomine Domini.*

W dowód radości udają się wszyscy nazajutrz do Gentilly.

Dnia 3. października mianowani zostali: pierwszym asystentem X. Cazot, drugim X. Planson. trzecim X. Mac Hale, czwartym X. Veneziani, admonitorem zaś X. Planson.

Nastąpiły obrady konwentu, których wyniki skrystalizowane są w uchwałach przesłanych już do wszystkich domów Zgromadzenia.

W sprawie beatyfikacyi wielebnej Ludwiki de Marillae i Sióstr Miłosierdzia umęczonych w Arras.

Dnia 6. lipca 1919 roku odczytano w Rzymie dekrety, które wielką radość budzą w obu rodzinach św. Wincentego.

Pierwszy z dekretów odnosi się do wiel. Ludwiki de Marillac. Dnia 17. czerwca 1919 r. przedłożył kardynał Wincenty Vanutelli, referent sprawy pełnemu zebraniu kongregacyi obrzędów to pytanie: Czy po stwierdzeniu cnót i trzech cudów można bezpiecznie przystąpić do uroczystej beatyfikacyi wiel. Ludwiki de Marillac i wtedy też wszyscy obecni kardynałowie i konsultorowie jednomyślnie odpowiedzieli, że nie ma żadnej przeszkody. Sam żaś Ojciec św. niedziedlę IV. po świątkach obrał na wypowiedzenie swojego zdania i wobec kardynała Vico, kardynała Vanutellego, X. Marianiego i sekretarza X. Verdie oświadczył, że bezpiecznie można przystąpić do uroczystej beatyfikacyi wiel. sługi Bożej Ludwiki de Marillac.

Drugi dekret dotyczy beatyfikacyi czyli deklaracyi męczeństwa czterech Śióstr Miłosierdzia, które umęczone zostały w czasie rewolucyi francuskiej w roku 1794. Oto ich nazwiska: Marya Magdalena Fontaine, Marya Franciszka Lanel, Teresa Fantou i Joanna Gérard. Najpierw należało upewnić się co do samego faktu męczeństwa i przyczyn jego, zanimby jakakolwiek nadzieja beatyfikacyi ich powstać mogła. Otóż w tęsamą niedzielę IV. po świątkach Ojciec św. Benedykt XV. oświadczył, że tak dalece pewnym, stwierdzonym jest fakt męczeństwa i jego przyczyna, że bez najmniejszej obawy czynić można dalsze kroki celem beatyfikacyi wiel. Maryi Magdaleny Fontaine i jej trzech towarzyszek.

Oba te dekrety były odczytane w obecności Ojca św. w sali konsystoryalnej Watykanu. Bezpośrednio po ich przeczytaniu X. Ricciardelli, prokurator generalny Zgromadzenia XX. Misyonarzy złożył publicznie dzięki Ojcu św. za ten akt łaski Stolicy św. dla rodziny św. Wincentego á Paulo.

Uroczystość beatyfikacyjna wiel. Matki Le Gras odbędzie się w Rzymie dnia 9. maja 1920 roku.



Kościół i dom św. Krzyża w Warszawie.

Królowa Marya Ludwika Gongaza sprowadziwszy 1651 r. Misyonarzy do Warszawy, obmyślała dla nich dotacyę i siedzibę. Niedaleko zamku królewskiego nad drogą główną

wiodącą od zamku do wspaniałych lasów i ogrodów królewskich zwanych dziś parkiem ujazdowskim, stał mały kościółek św. Krzyża zbudowany w r. 1520. Droga wspomiana dziś jest główną ulicą Warszawy zwaną Krakowskie Przedmieście. W r. 1615 niejaki Zembrzuski, właścicicl okolicznych gruntów i realności, powiększył ten kościółek dobudowawszy dwie boczne kaplice, które nadały kościółkowi formę krzyża. Biskup poznański Wężyk, do którego juryzdykcyi należała wówczas Warszawa, utworzył przy tym kościele w r. 1626 osobną parafię, której patronat należał do rodziny Zembrzuskich. Kiedy Misyonarze przybyli do Warszawy, był proboszczem tej parafii X. Zeidlic, który wkrótce zaprzyjaźnił się z Misyonarzami. Nie trudno więc było królowej skłonić go, aby się zrzekł beneficium na rzecz Misyonarzy. Równocześnie wykupiła od rodziny Zembrzuskich prawo patronatu parafii i obszerne realnosci, składające się z ogrodów i dom w pobliżu kościoła. Od magistratu zaś wykupiła prawo patronatu św. Krzyża. Wszystko to aktem z 10. listopada 1653 r. oddała Misyonarzom. Książę biskup Czartoryski zaś reskryptem z 1. grudnia 1653 r. dotacyę tę potwierdził, Misyonarzy do dyecezyi przyjął i oddał im parafię św. Krzyża. Stosunek proboszcza św. Krzyża do władzy dyecezalnej został później aktem z 19. kwietnia 1670 r. w ten sposób ułożony, że każdorazowy superyor domu św. Krzyża, mianowany przez Generała Zgromadzenia. zostawał *eo ipso* bez osobnej instytucyi kanoniczej proboszczem św. Krzyża. Miał tylko obowiązek przedstawić się władzy dyecezalnej. W czasie najazdu Szwedów na naszą Ojczyznę i zajęcia przez nich Warszawy kościół św. Kızyża mocno ucierpiał. Postanowili więc Misyonarze wybudować w jego miejsce nowy, wielki kościół.

W r. 1682 zburzono kościółek stary i przystąpiono do budowy nowego. Królowa fundatorka już nie żyła. Ale ówczesny król Jan Sobieski i żona jego, także francuska, Marya Kazimiera jak i cała rodzina królewska, wielką opieką otaczali Misyonarzy. Kamień węgielny pod nowy kościół położył dnia 1. kwietnia 1682 r. królewicz Jakób Sobieski,

a sami królestwo przyczynili się hojnie do budowy. Budowę, którą prowadził architekt Włoch, Belotti, ukończono w r. 1696. Koszta budowy wynosiły już wtedy 800,000 złp. Poświęcił go ówczesny wizytator X. Bartłomiej Tarło a nuncyusz papieski śpiewał pierwszą mszę św., kardynał Radziejowski zaś wprowadził Najśw. Sakrament. Tenże kardynał konsekrował kościół uroczyście 14. października 1696 roku, w obecności królowej. Wkrótce dokończono budowy facyaty i dwu wież pod kierunkiem architekta Fontany. Kościół ten był największym w Warszawie. Obecnie wyprzedził go rozmiarami kościół Wszystkich Świętych, który Misyonarze zaczęli budować, aby podzielić swą zbyt wielką parafię, ale nie dokończyli go już z powodu kasaty. Kościół św. Krzyża ma kryptę czyli kościół dolny, w którym chowali Misyonarze swych zmarłych konfratrów a po drugiej stronie Siostry Miłosierdzia i niektórych znakomitych dobrodziejów. Tu też pochowani są pierwsi Misyonarze wysłani do Polski przez św. Wincentego, drogie relikwie nasze, tu spoczywa pierwszy wizytator narodowości polskiej X. Bartłomiej Tarło, który umarł jako biskup poznański i inni znakomici następcy jego. Grobowce te stanowią oddzielne podziemie, a reszta krypty służy na nabożeństwa przedpogrzebowe i wystawienie zwłok przed pogrzebem.

Przed budową kościoła jeszcze wystawiono wielki dom, który rozszerzano i dobudowywano ciągle. Dzieła bowiem tego domu rozrastały i mnożyły się szybko. Jak wspomniałem, królowa Marya Ludwika, sprowadzając Misyonarzy do Polski, miała na myśli wychowanie kleru. To też spełniając wolę królowej, X. Desdames zajął się już budową obszernego domu na pomieszczenie seminaryum kleru świeckiego, ale śmierć królowej w r. 1666, i późniejsze zamieszki w kraju przeszkodziły w dokończeniu dzieła. Przyspieszyła wreszcie to dzieło odezwa papieża Innocentego XI. z r. 1676 do biskupów polskich, w której zachęca ich do zakładania seminaryów i powierzania ich Misyonarzom. Wezwanie to król i biskupi chętnie przyjęli i zaraz w r. 1677 biskup poznań-

ski wraz z kapitułą kolegiaty warszawskiej zakładają seminaryum u św. Krzyża. Dodam tu zaraz, że z biegiem czasu na 31. seminaryów w Polsce 22. były w rękach Misyonarzy.

Równocześnie z seminaryum externum założono i seminaryum internum 1677 r. Na założenie tego seminaryum nalegał już na X. Desdames św. Wincenty. Zgłaszali się bowiem w Polsce liczni kandydaci do Zgromadzenia, których trzeba było wysyłać do Paryża do seminaryum. Sprawa odwlokła się prawdopodobnie z tych samych powodów co poprzednio, aż wreszcie w r. 1677 X. Eveillard otworzył pierwsze polskie seminaryum internum.

Dom więc św. Krzyża stał się wielkim ogniskiem wychowania kleru. Przez blisko dwa wieki (1677—1864) dwa seminarya św. Krzyża t. j. seminaryum externum i seminar. internum wydawały corocznie kapłanów świeckich i Misyonarzy. Dom stał się ogniskiem nauki, którą Misyonarze odznaczali się w Polsce. Wkrótce w domu powstała wielka i bardzo doborowa biblioteka, później zgromadzono gabinet fizyczny. W XVIII wieku założyli Misyonarze drukarnię, która bardzo prosperowała, i w której drukowano większą część dzieł religijnych w języku polskim. W roku 1735 powstała przy tym domu i apteka, jedyna wówczas publiczna apteka w Warszawie. Aptekarzami byli bracia Zgromadzenia a później powierzono ją aptekarzom uprzywilejowanym. Łatwo więc zrozumieć, że wielkim musiał być ten dom, który mieścił tak liczne i doniosłe dzieła: misye, parafie, seminaryum externum i seminaryum internum wraz z studyami, opieką duchową w szpitalach, drukarnię, aptekę itd. Rzeczywiście po jednej i drugiej stronie kościoła powstały ogromne budynki a między nimi i domy czynszowe. Uposażenie tego domu i środki materyalne były bardzo dobre. Królowa Marya Ludwika zakupiła dla Misyonarzy znaczne realności, z biegiem czasu przybywały inne fundacye, tak, że wreszcie kilka wsi i ogromne tereny w samej Warszawie należały do Misyonarzy. Obecnie cała dzielnica miasta i kilka pierwszorzędnych ulic zbudowanych jest na terenach, które

rząd rosyjski, zabrawszy je Misyonarzom, później rozsprzedał. Starzy ludzie pamiętają jeszcze ten zabór; nazywają obecnie jedną dzielnicę miasta „księża krzywda". W XVIII wieku doszedł dom centralny św. Krzyża wraz z całą prowincyą do największego rozkwitu za wizytatorstwa X. Piotra Hiacynta Śliwickiego. Około r. 1770 prowincya ta liczyła 39 domów, kleryków Zgromadzenia, t. j. seminarzystów i studentów było 90, a oprócz tego wychowywali się jeszcze Misyonarze w 3 innych seminaryach internach, a między nimi w Wilnie, gdzie otworzono seminaryum internum w r. 1725. Księży było około 300.

Parafia św. Krzyża największa w Warszanie liczyła przed kasatą Zgromadzenia przeszło 40000 dusz, to też księży mieszkało u św. Krzyża 60. Najwspanialsze uroczystości kościelne i narodowe odbywały się u św. Krzyża, tu bardzo często odbywały się konsekracye biskupów, pierwsze znakomitości stolicy uczęszczały do tego kościoła. Współczesne z XVIII wieku gazety zawierają często opisy uroczystości, które odbywały się tam z wielką pompą. Wiele bardzo misyi odbywali także Misyonarze z tego domu, choć głównie to dzieło spełniały domy inne w prowincyi.

Tym stanem pomyślności domu św. Krzyża nie wstrząsnęła nawet największa katastrofa narodu naszego t. j. utrata bytu państwowego i podziały Ojczyzny naszej. Wprawdzie prowincya się nieco zmniejszyła, bo zuchwały reformator cesarz Józef II. skasował domy Zgromadzenia, które dostały się wskutek podziałów pod panowanie austryackie i mienie ich zagrabił. Domy zaś, które się znalazły na terytoryum, które Rosya zaliczyła ściśle do swego imperyum, a więc na Litwie i Białorusi, miały utrudnioną komunikacyę i utworzyć musiały osobną prowincyę, której domem centralnym zostało od r. 1795 Wilno. Mimo to jednak prowincya warszawska była silną, a dom centralny nic się nie zmniejszył. Do ostatnich chwil jego istnienia, stan jego i jego dzieł był kwitnący, stan zachowania reguł zaś taki, że w roku 1860 X. Etienne wizytując ten dom, powiedział: „Gdyby zaginęły

reguły Zgromadzenia, możnaby je w całości znaleźć w praktyce u św. Krzyża".

Ale niepodobna, aby katastrofy coraz okrutniej przygniatające nasz naród, oszczędziły i Misyonarzy. Kiedy naród nasz w r. 1831 zerwał się do walki z despotyzmem carów i upomniał się o swe prawa do życia, w Petersburgu poczęto coraz uporczywiej myśleć o zgnieceniu narodowości polskiej. A że narodowość u nas złączona była zawsze ściśle z katolicyzmem, wszczęto więc walkę gwałtowną z katolicyzmem i z głównemi jego warowniami, do jakich w Warszawie sprawozdania urzędowe zaliczały nieustannie Misyonarzy i dom św. Krzyża. Zbrojne powstanie naszego narodu w r. 1863 odjęło caratowi wszelką troskę o pozory i bez skrupułów zburzyć postanowiono wszystko co katolickie i polskie. Ukaz z 8. listopada 1864 r. zadekretował zniesienie Misyonarzy. Dnia 27. listopada w nocy niespodzianie wojsko rosyjskie z nabitą bronią otoczyło dom św. Krzyża, Komisya zebranym do refektarza Misyonarzom odczytała dekret kasacyjny i oznajmiła, że seminarzystów externistów i internistów wraz z 8 profesorami do czasu jeszcze zostawiają na miejscu, trzech księży do obsługi parafii aby służba Boża w niczem nie ucierpiała, jak się wyrazili komisarze, pozostaną przy kościele, a wszystkim innym kapłanom i braciom kazano w przeciągu godziny się namyślić, czy chcą wyjechać za granicę, czy do Łowicza, gdzie ich miano osadzić. Tym ostatnim kazano do godz. 4. rano być gotowymi do wyjazdu. I rzeczywiście jak zbrodniarzy spakowano ich na omnibusy i kibitki o godz. 4. i odstawiono na kolej, która ich miała odwieść na miejsce przeznaczenia. Jednego uniosła kibitka aż na Syberyę, gdzie pozostawał przez lat 12. Mienie wszystko zrabowano, bibliotekę liczącą 50,000 tomów w następnych dniach pakowano na fury i wywieziono. W miesiąc potem usunięto i seminarzystów wraz z profesorami. I dom św. Krzyża, jeszcze przed miesiącem bujne ognisko życia i wspaniałych dzieł bożych opustoszał i odarty wyglądał jak wygasłe pogorzelisko. W budynkach po jednej

stronie kościoła umieszczono potem gimnazyum, po drugiej stronie rozmieściła się policya i podobne instytucye kulturalne rosyjskie. Kościół św. Krzyża pozostał, ale odarty i ogołocony jak krzyż na Kalwaryi.

O 20 lat wcześniej ukaz carski zamienił w ruiny całą prowincyę wileńską. Wkrótce potem kulturkampf pruski wygnał Misyonarzy z Poznania i Chełmna. W ten sposób na całej przestrzeni ziem Polski zniszczone zostało Zgromadzenie. Został tylko jeden dom w Krakowie, „dom Nawrócenia św. Pawła" na Stradomiu, obecny dom centralny prowincyi.

Poczęto myśleć o dzwignięciu z ruin Zgromadzenia w Polsce. Zaczęto nową prowincyę w Krakowie. Po ciężkich bardzo wysiłkach powstała prowincya obecna. Ale Misyonarze tej nowej prowincyi, tak, jak niegdyś naród wybrany na wygnaniu, co zwracał bezustannie tęskny wzrok w stronę Jeruzalem, wspominali ś. Krzyż w Warszawie, o którym im opowiadało kilku pozostałych dawnych Misyonarzy — i marzyli tęsknie o tem, aby do św. Krzyża powrócić mogli. Marzyli o tem, jak we śnie, bo nawet nie mógł żaden nigdy pojechać do Warszawy, aby tę ukochaną kolebkę Zgromadzenia w Polsce zobaczyć, gdyż nie wolno było księdzu a zwłaszcza Polakowi przekroczyć granic imperyum rosyjskiego. I zdawało się po ludzku, że rzeczywiście są to tylko senne mary te nasze tęsknoty. Tymczasem wśród strasznej dziejowej katastrofy, Opatrzność Boża wyprowadziła cudownie z grobu naszą Ojczyznę, a wraz z tym cüdem stał się cud, że nasze senne mary zamieniły się w rzeczywistość. Misyonarze od dwu lat już pracują w Warszawie w kościele, św. Krzyża!

Po kasacie Zgromadzenia w 1864 r. pracowali przy tym kościele początkowo ci trzej Misyonarze, których zostawił tam rząd. Potem objęli pracę parafialną księża świeccy. W ostatnich latach proboszczem św. Krzyża był biskup sufragan. Parafia została podzielona i obecnie liczy 17,000 parafian. Kiedy Niemcy wzięli Warszawę w okupacyę i ogło-

sili potem parodyę Królewstwa Polskiego, w r. 1917 pojechałem do Warszawy. Wtedy arcybiskup warszawski, obecny kardynał Kakowski, wielki i bardzo życzliwy przyjaciel Zgromadzenia, wyraził mi życzenie, abym przysłał Misyonarzy do Warszawy, do kościoła św. Krzyża. „Wasz to kościół, powiedział, więc oddać go wam winniśmy". Piękne to bardzo, ale zdawało się niewykonalne. Nie podobna było usuwać dotychczasowego proboszcza X. biskupa Ruszczkiewicza, starca przeszło 80-letniego. Ale to trudność mniejsza. Sam ten czcigodny biskup także powrotu naszego do św. Krzyża pragnął. Ułożyliśmy się więc tak, że X. biskup zostanie aż do swej śmierci proboszczem św. Krzyża, a Misyonarze będą jego wikarymi, po śmierci zaś jego i tytuł proboszcza do nas wróci. Większe trudności przedstawiały się ze strony okupantów. Protestanccy Niemcy chyba nie pozwolą na osiedlenie się Misyonarzy w Warszawie. Ale rzecz dziwna — i te trudności się zwyciężyło. Niemcy najwięksi wrogowie polskości i katolicyzmu dali paszporty polskim Misyonarzom na przyjazd do Warszawy. Dnia 25. stycznia 1918 r. w dzień nawrócenia św. Pawła zaczął się nowy okres pracy Misyonarzy w kościele św. Krzyża. Misyonarze zajęci pracą w parafii i misyami stanowią dom jeden i mieszkają w budynkach po stronie ewangelii kościoła.

Równocześnie prawie z tem dziełem pracy parafialnej i misyi przy kościele św. Krzyża powstało i dzieło wychowania kleru. Biskupi polscy postanowili otworzyć przy uniwersytecie warszawskim fakultet teologiczny dla wyższych studyów teologicznych młodszych kapłanów różnych dyecezyi. Postanowili równocześnie, że kapłani ci obowiązani będą mieszkać w internacie, w którym pogłębią i swoje wyrobienie duchowne. Prowadzenie tego internatu postanowili oddać naszemu Zgromadzeniu. Umieszczono zaś internat w budynkach naszych, które się znajdują po stronie epistoły kościoła. Konfratrzy tego domu są w całości *ad cleri disciplinam*. Oprócz prowadzenia internatu, który obecnie liczy około 50 młodych księży, jeden jest profesorem Pisma św.

na uniwersytecie warszawskim, a inny jest dyrektorem duchownym seminaryum archidyecezalnem.

I inne dzieła piękne w tej stolicy naszej Ojczyzny wołają o Misyonarzy, ale na razie objąć ich nie możemy, *quia et aliis civitatibus oportet evangelisare regnum Dei.*

X. K. Słomiński.

Misye w czasie wojennym.

Z wybuchem wojny wyjazdy okazały się niemożliwemi tembardziej, że Kraków w pierwszym roku wojennym ciągle był w bezpośredniem niebezpieczeństwie, a przez pewien nawet czas od całego świata był odciętym. Boleliśmy nad tem choćby z tego punktu widzenia, że pierwsze nasze dzieło stanęło zupełnie. Przez pierwsze półrocze wojny nie odprawialiśmy żadnych misyi. Nikogo do Krakowa nie wpuszczano, nikogo nie wypuszczano. Komunikacya kolejowa ustała. A o ile pociąg szedł, to tylko z biedakami, którzy nie byli w mieście dostatnio zaprowiantowani i dlatego jako balast niepotrzebny na czas możliwego oblężenia wywożono ich do różnych wsi i siedzib barakowych na zachód.

Otrzymałem jednakże w styczniu wezwanie na misyę do Wadowic na marzec 1915 r. Zdziwiłem się sam odwadze proboszcza, który w warunkach tak trudnych tak śmiało pomyślał o sprawie, którą wszyscy inni za niepodobną do przeprowadzenia uważali. Ale wprost nie wyobrażałem sobie jak się tam dostaniemy. Żaden pociąg nie szedł, komunikacya wszelka przerwana. Szykany czarno-żółte i prawa wojenne, nawet o wozowej przeprawie nie dozwalały myśleć. Szczęśliwy byłem, kiedy mi się udało uzyskać auto Czerwonego Krzyża od księcia Pawła Sapiehy i pod znakiem genewskim w asyście oficera pojechałem przez Kalwaryę do Wadowic, oczywiście w drodze co chwila zatrzymywany przez pikiety austryackie i pytany o legitymacye. Ale misya odbyła się. Trwała od 24. do 30 marca 1915 r. Odprawiałem ją sam, bo w żaden sposób nie mogłem uzyskać prze-

jazdu dla większej liczby Misyonarzy. Była to pierwsza misya w czasie wojny. W kościele na kazaniach i nabożeństwach same niewiasty; mężów, ojców, braci zabrali im na wojnę. Tu, w Wadowicach i po wsiach okolicznych przebywało mnóstwo biedy ewakuowanej z Krakowa. Ogromnie się ucieszyłem, kiedy się dowiedziałem, że istnieją tu Panie Miłosierdzia, które pod egidą św. Wincentego nadzwyczajną działalność dobroczynną rozwinęły: prowadziły szwalnię dla ubogich, utrzymywały tanią kuchnię, z której codziennie paręset obiadów wydzielały, i znaczną liczbę nędzarzy miały na całkowitem swojem utrzymaniu. Słowa zachęty dodały nowego bodźca.

Na dłuższy przeciąg czasu była to jedyna misya. Na inne nie pozwalały stosunki.

Otworzyło się jednakże przedemną inne pole pracy, to, które już i dawniej uprawiałem. We wrześniu 1915 r. pojechałem do Hildesheim, gdzie wśród wychodźców naszych zatrzymanych na kaducznem prawie wojennem w Niemczech, pracowałem aż do grudnia tegoż roku według planu nakreślonego mi przez konsystorz Hildesheimski. Tomyby o tem pisać, jak „troskliwie“ opiekowali się Niemcy naszymi!

W roku 1916 dawaliśmy misye wśród najbardziej opuszczonych, wśród najnędzniejszych z nędzarzy: w barakach choceńskich. Choceń, to czarna karta w dziejach wojny, na której każda litera jest nowym aktem oskarżenia przeciwko rządowi austryackiemu i przeciwko lichwiarzom i łupieżcom czeskim.

W ciasnych, brudnych, niehygienicznych barakach w błotnistej dolinie niedaleko Pardubic czeskich rzucono tysiące ewakuowanych nędzarzy z Krakowa i Galicyi wschodniej na łup robactwa i zarazy, na brutalne traktowania i wsteczne nagabywania żandarmów ordynarnych i cynicznych lekarzy, na pastwę dostawców skorumpowanych i urzędników (pochwałą to jeszcze będzie gdy o najlepszych z nich powiem) biurokratów bezmyślnych, ludzi bez serca i ducha. Staliby się fizycznie i moralnie niechybnie łupem tej cuchną-

cej c. i k. zgnilizny, gdyby książę kiskup krakowski przez K. B. K. nie był roztoczył nad nimi wydatnej opieki. Troskę duszpasterską oddał w ręce X. Kasprzyka, X. Słowaczka i X. Pierzowicza, a po zorganizowaniu jej przez nich Misyonarzom. Kiedyśmy: X. Tyczkowski, X. Jakób Konieczny i niżej podpisany zaczynali misyę dnia 30. stycznia 1916 roku. duszpastorstwo to sprawowali X. Karol Michalski, X. Paszyna, a oprócz nich jeszcze X. Pierzowicz z dyecezyi przemyskiej, który z takiem poświęceniem i z takiem zaparciem się podziwu godnem oddawał się pracy nad nimi, że choć jego dawni koledzy już ustąpili, on nie mógł zdecydować się na opuszczenie ewakuowanych. Ilekroć transporty z nimi wyruszały do powiatów Galicyi wschodniej, on im towarzyszył w bydlęcych wagonach wśród mrozów styczniowych, aby bronić ich w drodze przed bezmyślnością i złą wolą urzędników i starać się o posiłek na postojach. Misyę odprawiliśmy wśród nich od 30. stycznia do 13. lutego 1916 r. Chodzili na misye pilnie do kościoła barakowego drewnianego nietylko Polacy, ale i Rusini obrządku grecko-katolickiego. Jedna rzecz przeszkadzała w lepszem korzystaniu z misyi i w skupieniu, ta, że w czasie samej misyi odbywały się transporty: jedne przybywających gromadek z innych obozów koncentracyjnych, a drugie odchodzących do uwolnionych od inwazyi rosyjskiej powiatów Galicyi wschodniej. Serce się krajało, kiedyśmy patrzeli na ich bezgraniczną nędzę, z którą tem żywiej współczuliśmy, im bardziej bezsilnymi byliśmy wobec zbrodniczej przewrotności sprawców jej. Zbolałe, bezdomne te dusze tem więcej ceniły sobie dary Boże. Do spowiedzi przystąpiło 6,800, a 18,000 było komunii św. *Panis vivus vitam praestans homini* i im życia udzielał. Jakaż radość ożywiała ich trupie, wygłodzone oblicza, kiedy w komunii św. poznawali, że Bóg przecież nie zapomniał o nich. Radość im również wielką sprawiło, gdy wszystkim dawaliśmy na pamiątkę medaliki cudowne a wszystkim dzieciom do lat 15 po koronce.

Szczęście dla nich, że w szpitalu choceńskim opiekę objęły Siostry Miłosierdzia z Krakowa, które z narażeniem własnego życia wyrywały ich z objęć zaraz i śmierci, a ochronkę dla dzieci prowadziły Służebniczki. Było i trochę inteligencyi: kilkanaście sił nauczycielskich przy szkole i panie przy szwalni. Inteligencya ta stworzyła dla opieki moralnej nad nimi skauting, który bardzo dobrze na młodzież wpływał i „Opiekę“, która różne zadania w sobie skupiała. Widząc wpływ umaralniający tych czynników, nie omieszkaliśmy powagi ich podnieść.

Krzyża misyjnego nie było. W jego miejsce poświęciliśmy krzyż bardzo piękny postawiony już przedtem w ogrodzie szwalni. Dnia 13. lutego urządziliśmy na zakończenie nabożeństwo za zmarłych, a po niem procesyę na cmentarz ewakuowanych, który już setki wygnańców w zimnem łonie pochłonął i na tysiące jeszcze czekał.

Dziś baraków choceńskich już niema. Mieszkańcy jego wrócili na zgliszcza domów swoich, na rolę granatami zoraną. A na cmentarzysku czeskiem, na obcej ziemi, zdala od swoich pozostały tysiączne ofiary. Kto za nich się pomodli, kto o nich pamiętać będzie? Krzywdzeni za życia i po śmierci są opuszczonymi. Kolano husyckie przy ich grobach z pewnością się nie zegnie a materyalizm czeski w zaduszki świeczki na nich nie zapali. — Niechże Bóg im będzie miłosiernym.

Zanim skończyła się misya w choceńskich barakach, podejmowałem już starania o paszport. Szło o wyjazd do Poznańskiego. Już oddawna nas tam wzywano na misye. Choć w Galicyi i w ogóle w Austryi całej wojna wyważyła z posad wszelki normalny rozwój życiowy i nam pracę uniemożliwiała, to Niemcy, którzy umieli całą wojnę przenieść na obcy teren poza granice własnego państwa, umieli też i wewnątrz kraju utrzymać wzorowy ład; to też życie płynęło tu normalnie niemal a wskutek tego i misye były o tyle, o ile możliwe. Strzegli jednakże pilnie granicy, nawet przed przyjaciółmi i sprzymierzeńcami czarno-żółtymi. Dlatego o wyjazd do Niemiec było bardzo trudno. A przy-

tem już coraz częściej naszych księży, poddanych pruskich powoływano do służby wojskowej. Uzyskałem sam jeden paszport. Przebywał jednakże w Poznaniu X. Bieniasz przez cały czas wojenny, we dwóch więc daliśmy misyę w Wolsztynie.

Byłato raczej renowacya. Mieliśmy tu misyę wielką przed 2 laty od 14. do 26. lutego 1914 r. we czterech. Wtedy było 9,600 spowidzi i 14,000 komunii św. Zrobiła nadzwyczajne wrażenie. Teraz przystąpiło 8,200 do spowiedzi i 16,800 do komunii św., i na każdym kroku spotykaliśmy się z niezmiernie dodatnimi owocami tamtej misyi. Nietylko tak słyszeliśmy z ust X. Proboszcza i wielu wiernych, ale probierzem trwałych skutków już na samym wstępie było nam to, że kiedy dojeżdżaliśmy z dworca kolejowego do probostwa, widzieliśmy pod krzyżem misyjnym wtedy postawionym grupy pobożnych odmawiających na klęczkach pacierze. Taka wierność w tym drobnym na pozór akcie religijnym, świadczy dodatnio o wierności w całym kompleksie postanowień misyjnych. Komunia św. częsta, o której dawniej nikt nie myślał, przez całe 2 lata utrzymywała się na wysokim poziomie i na dobre się przyjęła. A Towarzystwo Pań Miłosierdzia, które przed 2 laty za zgodą pani hr. Mycielskiej jako prezesowej i X. Zygarłowskiego jako dyrektora, zreorganizowałem w ostatnim dniu misyi, w tak świetnym stanie rozwoju teraz znaleźliśmy, że nietylko stale odbywają się posiedzenia, ale takiem życiem pulsuje, że znaczną liczbę ubogich ma na utrzymaniu stałem, których panie odwiedzają, dla sierót wojennych posłały 12 ogromnych skrzyń z ubrankami przez siebie uszytemi do Łodzi a również dla sierót do ochronki K. B. K. do Krzeszewic, do Zakładu naszego X. Siemaszki do Czerny i do ochronki K. B. K. w Prądniku.

X. Bieniasz w dalszych misyach pomagać mi nie mógł. Że jednakże były przyjęte, i trzeba je było odprawić, więc odprawiłem je sam, jedną w Rzegocinie a drugą Taczanowie. W Rzegocinie, powiecie pleszowskiem, trwała misya od 7. do 13. marca. Tu tak widocznie błogosławił P. Bóg

w pracy, że nie było literalnie nikogo w całej parafii, ktoby w misyi nie brał udziału. Gospodarze i robotnicy, chłopi i dwór cały (Chłapowscy) spieszyli na misye i nie darowali sobie żadnego kazania, żadnego nabożeństwa. Istniały już w parafii takie stowarzyszenia i bractwa: Stowarzyszenie matek chrześcijańskich, Straż św. Józefa, Różaniec i bractwo trzeźwości. Wszyscy bez wyjątku zrobili przyrzeczenie wstrzemięźliwości, jedni na nowo, a inni ponowili je teraz Do tych stowarzyszeń i bractw zachęcalem tem bardziej, że X. proboszcz dr. Głowiński sam mi obiecywał, że będzie regularnie robił zebrania miesięczne dla każdego wzwyż wymienionych stowarzyszeń. Cudowne medaliki rozdawałem wszystkim uczestnikom darmo. Poświęcałem też przedmioty nabożeństw naszemu Zgromadzeniu szczególniej poleconych przez Stolicę Apostolską. Praktyka częstej komunii św. tak pięknie się przyjęła, że, jak później jeszcze miałem wiadomości od X. proboszcza, nigdy dawniejszemi laty nie było widać takiej gorliwości w uczęszczaniu do Sakramentów św. jak po misyi. — Ale wspomnienie nędzarzy w Choceniu ciągle mnie prześladowało, pamięć o tem, co widziałem w Wadowicach, nie dawała mi spokoju, rzesze sierót głodnych i matek wynędzniałych, ofiar wojennych ciągle stawały mi przed oczyma — rad byłbym cały świat poruszyć miłosierdziem na rzecz cierpiących. Uzyskałem dla nich dużo już w Wolsztynie. Nie mogłem i tu pominąć sposobności. Nawiązywałem do miłosierdzia. Na szczęście natrafiłem na grunt znakomity. Tu istnieje Towarzystwo Pań Miłosierdzia. Tutejsze Panie z dworu a także i gospodynie wiejskie należą do Towarzystwa Pań Miłosierdzia z siedzibą w Pleszewie, a właścicielka Rzegocina, p. Teofila z książąt Woronieckich Chłapowska jest prezesową jego. To kółko Pań Miłosierdzia jest mojem zdaniem najlepsze, najwyżej rozwinięte w duchu miłości bliźniego i św. Wincentego i najwięcej a przytem najsprawniej działa z pośród wszystkich towarzystw Pań Miłosierdzia w całem księstwie, śmiem nawet powiedzieć na całej polskiej ziemi.

Jakże się ucieszyłem, kiedy mnie proszono, aby po misyi w Rzegocinie dać rekolekcye Paniom Miłosierdzia w Pleszewie. Oburącz tej okazyi się chwyciłem. Dał mi Bóg w ręce taką przednią sposobność, by miłosierdzie, tę bohaterską cnotę św. Wincentego rozniecić w interesie cierpiących. Nie wątpiłem ani na chwilę, że Bóg da moc słowom moim. *Dedit verbum evangelizantibus virtute multa.* Dnia 13. marca kończyłem misyę w Rzegocinie o g. 2. popołud. a już o 5. g. zaczynałem rekolekcye Pań Miłosierdzia w Pleszewie o kilkanaście kilometrów. Brały udział wszystkie Panie z okolicy i miasta; nie wszystkie jednakże należały do Pań Miłosierdzia, ale po rekolekcyach dużo nowych się zapisało. Po rekolekcyach wszystkie Panie tyle gotowości pokazały do dzieł miłosierdzia, że na zebraniu urządzonem z dyrektorem X. Niesiołowskim zobowiązało się na moją prośbę całe Towarzystwo ubierać przez 2 lata od stóp do głów 15 dzieci wojennych z Galicyi i Królestwa. Terminy dostawy ubrań ustalono: 15. kwietnia i 15. września przez lata 1916 i 1917 r.

Dałem jeszcze misyę w Taczanowie od 22. do 27. marca pod Pleszewem. Widziałem również piękne owoce pracy.

Ale spieszno mi było kuć żelazo, póki gorące. Już 27. marca zaczynałem rekolekcye dla Pań Miłosierdzia w Poznaniu w kaplicy św. Józefa. Ta akcya dobroczynna, która zaczęła się w Wolsztynie i w Pleszewie rozszerzyła się po rekolekcyach Pań Miłosierdzia w Poznaniu na całe Wielkie Księstwo Poznańskie. Zorganizowała się rzecz tak, że z uchwały Rady Wyższej każde Towarzystwo Pań Miłosierdzia w całej Wielkopolsce zobowiązane było stosownie do możności swojej zdecydować się na dostarczenie ubraniek (jedno dla 10 inne dla 15 dzieci itd.) tak, by przez 2 lata 1916 i 1917 dostarczano łącznie ubrań, bielizny, bucików dla 400 biednych dzieci wojennych. Terminy dostawy tak jak wyżej. W Towarzystwach Pań Miłosierdzia w Poznaniu znalazłem tyle zrozumienia i tyle współczucia dla cierpiącej ludzkości,

że kiedy kończyłem rekolekcye, same panie dowiedziawszy się, że z Poznania wprost jadę na misye do Lubelszczyzny nad sam Bug, skąd hiobowe wieści już dochodziły o bezgranicznej nędzy spalonych i zrabowanych przez cofających się moskali, naprędce zrobiły w kaplicy św. Józefa między sobą składkę, która odrazu dała 8,200 marek i to mi wręczyły z tem, abym nad Bugiem ratował nędzarzy według własnego najlepszego uznania. W tym samym jeszcze dniu uchwaliła Rada Narodowa w Poznaniu 15,000 marek, które mi dano z przeznaczeniem dla dzieci wojennych w Dąbrowie Górniczej. Z uchwały walnego zebrania Pań Miłosierdzia otrzymałem ponadto kilkanaście tysięcy marek w różnych terminach w tymże celu. Wspominam o tem z tem przeświadczeniem, że skoro w łaczności z imieniem św. Wincentego wymienia się takie nazwiska w historyi miłosierdzia jak: X. d'Aiguillon, Lamoignon, Goussault, Pollalion, Fouquet itd., również nazwiska i czyny Polskich Pań Miłosierdzia błyszczeć winny temsamem prawem i równym blaskiem na kartach dziejów miłosierdzia w polskich ziemiach.

(c. d. n.) *X. W. Szymbor.*

Wśród jeńców Polaków w Lotaryngii i zagłębiu Briey*).

Wyrwany prusko-brutalnym gestem z pośród swoich, znalazłem się w szpitalu w Kozlu jako pisarz pomocniczy typowego pruskiego feldfebla w charakterze służącego szpitalnego, tak zwanego Militärkrankenwärter. Tą godnością zwykli byli Prusacy obdarzać księży katolickich. Każdy starał się z tej sytuacyi wydostać, lub jeżeli się nie dało inaczej przynajmniej znaleźć zajęcie odpowiednie.

---

*) Niżej podpisany powołany był do wojska pruskiego 10. września 1917 r. i służył do 11. lutego 1918 r. w Koźlu. Potem w Metz aż do zawieszenia broni. Od 10. listopada 1918 do 21. stycznia 1919 roku w Belle-tanche był kapelanem w domu centralnym Śióstr Miłosierdzia prowincyi Lotaryngii; od 1. lutego zaś aż po 3. września tj. do wyjazdu do domu kapelanem u św. Kazimierza i pomocnikiem X. Postawki w Paryżu.

Po definitywnej odmowie na reklamacyę zgłosiłem się na stanowisko kapelana jeńców Polaków w Metzu. Jeńców rosyjskich, za którymi nikt się nie ujmował przerzucali na zachodnie tereny wojenne. Metz stare miasto galickie u ujścia rzeki Seille do Moseli, zwane w starożytności Divodorum lub Mediomatrica, a w skróceniu Meta, Metz, leży w prześlicznej okolicy, w tak zwanym pays Messin. Ludność jest francuska. Samo miasto z powodu emigracyi Francuzów po 1871 r., a immigracyi niemieckich kupców, urzędników, wojskowych, w wielkiej mierze z powodu z brutalną konsekwencyą przeprowadzonego: *Nur deutsch sprechen*, nabrało na oko charakteru niemieckiego. Ponad miastem góruje wspaniała katedra gotycka. Niemcy zrobili z dawnej fortecy francuskiej olbrzymi obóz ufortyfikowany prawie nie do zdobycia. Miasto przysłuchiwało się ciągle wiecznej kanonadzie z niedalekiego Priesterwaldu i głuchemu grzmotowi z pod Verdun'u i choć kule z frontu go nie dosięgały aż do końcowej ofenzywy amerykańskiej, to było wystawione na bombardowanie ze strony lotników francuskich. Za Paryż, Nancy, Verdun, Toul, Belfort odpłacali się alianci kwawymi atakami na Metz. Na pełni, ludność całymi tygodniami po nocach przesiadywała w piwnicy, a dzielnica kolejowa i okolice gazowni wyludniały się na noc zupełnie. Silny ogień obronny ze setek armat i karabinów maszynowych i wszystkie inne środki nie mogły powstrzymać huraganu ataków powietrznych, niosącego nagłą i podstępną śmierć w szeregi bezbronnych daleko poza linią bojową. Najwięcej wyważyła mieszkańców z równowagi amerykańska loin-portant, która gdzieś z poza Pont-a-Mousson granatami 38 cm. kalibru okładała niektóre dzielnice. Wtenczas to na dobre zaczęła się ucieczka Niemców, najpierw wywożono meble i żony oficerskie. We wrześniu i październiku 1918 roku Niemcy bardzo wiele wywieźli rzeczy sprawiedliwie nabytych, bo ewakuacya terenów zagrożonych ofenzywą amerykańską, raczej sposób w jaki tę ewakuacyę przeprowadzali przysporzył im „zdobyczy“.

Co znaczy niewola narodów cywilizowanych w czasach, kiedy zasady miłości Chrystusowej zostały zastąpione zasadami powierzchownej humanitarności, ten tylko zrozumie, kto sam ją przeszedł, albo bliżej jej się przypatrzył. Wskutek nieludzkich wprost warunków nie brakowało wśród jeńców wypadków samobójstwa: ten brzytwą sobie żyły poderżnął, ów skoczył w hucie do roztopionego metalu i t. d. Nasi z religii czerpali siłe do wytrwania. Pocieszali się tem, że Pan Jezus, pomimo że był najukochańszym synem Ojca przedwiecznego jednak tak straszne musiał przejść męki. Te motywy dodawały im siły do znoszenia cierpień. Pracę mieli ciężką, we wielu wypadkach wprost nad siły, a odżywianie było marne. Niemcy powtarzali wciąż jeńcom: „Jeżeli aliantom uda się nas ogłodzić, to wy najprzód z głodu wyzdychacie". Włochom, Anglikom, tyle przysyłano paczek z żywnością, że na lichą strawę niemiecką oglądać się nie musieli. Nasi pod tym względem w gorszem byli położeniu. Pomiędzy tych nieszczęśliwych wprowadziła mnie Opatrzność, a że w ciężkich czasach każdy powinien się starać, żeby jak najwięcej dobrego zrobić, więc ochoczo zabrałem się do pracy.

Metz zrobił na mnie w pierwszej chwili wrażenie Krakowa z grudnia 1914 r. kiedy Moskale stali pod murami twierdzy. Domy wzdłuż dojazdu na główny dworzec były porujnowane, a kilka nawet zupełnie zdemolowanych; w hotelu, gdzie stanąłem na pierwszą noc po przyjezdzie, nie było ani jednej szyby w oknach. To w przeddzień awiony wysadziły wagony z amunicyą stojące na dworcu, a od wstrząśnienia eksplodował mały rezerwoar gazowy. Trzeba było się oglądnąć za względnie bezpiecznem mieszkaniem. Za miastem, w uroczym dworku darowanym przez szlachcica polskiego pana Kozłowskiego Siostrom Miłosierdzia, które tutaj po roku 1871 zainstalowały swój dom centralny dla prowincyi lotaryngskiej znalazłem mieszkanie misyonarskie, nawet z ogródkiem. Przed wojną mieszkał tutaj stale przynajmniej jeden z konfratrów francuskich, dwóch nawet

spoczywa na cmentarzu Śióstr Miłosierdzia. X. Sieben, musiał z wybuchem wojny opuścić stanowisko. Ponieważ dom ten zwany Belletanche jest oddalony pół godziny od miasta, a 20 minut od parafii, więc brak księdza dawał się Śiostrom dotkliwie we znaki. W czasie wojny stało w domku misyonarskim z kolei trzech kapelanów wojskowych, a ponieważ w czasie mego przyjazdu mieszkanie w sam raz było wolne, zarekwirowałem je za życzliwą zgodą przezacnej wizytatorki ś. p. Śiostry Lenzbourg, dla siebie. Miało ono tę niedogodność, że nie było w piwnicy, co z powodu bezpośredniego sąsiedztwa największej w Niemczech stacyi telegrafu bez drutu i olbrzymich koszar było nieraz rzeczą bardzo kłopotliwą, ale uspakajało mnie pełne wiary i otuchy: *La Sainte Vierge vous gardera*, które ś. p. Śiostra Lenzbourg mi często powtarzała.

Przez Opatrzność bożą u Śióstr dobrze schowany, zacząłem objeżdżać mych jeńców w obrębie Gouvernement Metz i w kopalniach rudy żelaznej zagłębia Briey. W 40-tu obozach robotniczych mieściło się od 15. do 20. tysięcy jeńców przeważnie z armii rosyjskiej. Pomiędzy jeńcami rosyjskiemi było koło 2000 Polaków ze wszystkich zakątków zaboru rosyjskiego i około 150 Litwinów, którzy wszyscy rozumieli po polsku. Gdyby byli razem zebrani w jednym albo kilku obozach, możnaby było rozwinąć wśród nich miłą i owocną prace, ale byli rozproszeni po kilkudziesięciu po wszystkich obozach, a to utrudniało bardzo całą pracę wśród nich. Trzeba było nadto pomyśleć i o Włochach, którzy w liczbie około półtora tysiąca rozmieszczeni byli po obozach: Hagendingen, Rombas, Maizières, Homécourt, Moutiers, Roncourt i w Metzu, bo choć tutejsi księża z powodu wielkiej ilości robotników włoskich zawsze zajętych w hutach i kopalniach rudy, mówią po włosku, to wojskowość specyalnie zabroniła im stykać się z jeńcami i nawet słuchania ich spowiedzi. Przyjeżdżałem i do nich ze mszą św., jeden z nich czytał kazanie po włosku, a w czasie wielkanocnym odważyłem się od biedy na słuchanie spo-

wiedzi św. Zadziwiająca ignoracya religijna wśród nich, sprawiała mi nie mało kłopotu. Przywiązują wielką wagę do dewocyonaliów. Kiedy im się rozda medaliki, to szczęśliwsi niżby komunię św. przyjęli. Z półtora tysiąca przystąpiło ich do komunii wielkanocnej koło 100.

Kiedy rachunki Niemców co do Polski stały wysoko, zaczęli oddzielać Polaków od Moskali i utworzyli osobny obóz macierzysty polski w Gardelegen. Dwóch księży X. Seidel i X. Żak miało z tego obozu rozwinąć pomiędzy jeńcami Polakami w całej Rzeszy swą wpływową pracę: *Beeiflussungsarbeit*. Pruskie ministeryum wojny pisało w jednym ukazie: *Die Beeiflussungarbeit hat die Hebung der Arbeitsleistung zum hauptsächlichen Zwecke.* Pomagać wyzyskać siły jeńców do ostatniego tchu, było też zdaniem ministerstwa wojny głównem zadaniem kapelana jeńców. X. Seidel i X. Żak mieli w tak zwanym *Unterkunftsdepartament* notę zaufanych *vertauungswürdig*. Ponieważ X. Seidel był Niemcem, więc ministeryum uprzywilejowało jego pracę tem, że go nie kontrolował żaden tłómacz*). Iście więc rosyjską stosowali Niemcy metodę przy nabożeństwach dla jeńców. Planowana praca uświadamiająca wśród jeńców Polaków i to specyalnie jakby zaopiekowanie się nimi nie trwało jednak długo; wnet porzucili swe wyrachowane sympatye, Polaków gnali do najcięższych robót i zakazali co do nich wszelkich wyjątków. Panu Radziejewskiemu zapośredniczyłem urlop wyjątkowy: dzieci bowiem drobne do niego pisały: „My jesteśmy sierotami, kochany Tatusiu, donosimy ci bardzo smutną nowinę, mama nam umarła i teraz jesteśmy same, więc Kochany Tato, staraj się, abyś mógł do nas przyjść i podać nam kawałek chleba". Wiedziałem, że takie urlopy do terenów okupacyi niemieckiej lub austryackiej są dopuszczalne. Co do tego wypadku otrzymałem

---

*) W tekscie pierwotnym to wysokie wyróżnienie brzmi: *In seiner Anwesenheit erübrigt sich die Ueberwachung der Tätigkeit durch einen Dolmetscher.* (K. M. Nro. 664/8 17. U. K.).

odpowiedź, że takie wyjątki robi się tylko dla Litwinów. Litwinów też wysuwano z kopalń, hut i dawano im pierwszeństwo przy wymianie jeńców. Poprzednik mój X. Paczek, z kolonii polskiej we Westfalii wyjechał z powodu trudności, jakie wojskowość stawiała mu we wykonywaniu obowiązków kapelana jeńców, więc trzeba było być zdecydowanym na to, że nie wszystko gładko pójdzie. Przy przedłożeniu każdego planu objazdów, który zawsze trzeba było nosić do aprobaty, urzędnik pruski nasarkał się, nawydziwiał, ale zawsze jak się pod kij podlazło odważnie, to się coś utargowało. Pierwszą troską kapelana jeńców byli jeńcy zajęci ciężką pracą w kopalniach rudy zelaznej i hutach. Kopalnie w niedzielę nie pracowały. Mogłem je więc gromadzić do pobliskich kościołów na nabożeństwa i tak jeńcy kopalni St. Marie-aux-Chênes, Ida, Roncourt gromadzili się w kościele St. Privat lub w kaplicy w Roncourt, jeńcy kopalni w Pierrevilles i Marauge gromadzili się w kaplicy w Bronvaux. jeńcy kopalni Homécourt i Grand-Fond w kościele w Joeuf lub w kaplicy werkowej państwa de Wendel w Homécourt, robotnicy kopalni w Oboué i Montiers w kościołach parafialnych w Oboué i Montiers, jeńcy z kopalni Saucy w kościele w Trieux, jeńcy kopalni Landres i Jondreville w kościele parafialnym w Piennes. Położenie jeńców w kopalniach rudy było najgorsze. Cynicznie wyzyskiwano ich siły do ostatniej drobiny. Kiedy interweniowałem odpowiedziano mi: *Das ist eine höhere Kraft.* Ministeryum wojny z góry wyznaczało na kopalnię ilość produkcyi dziennej, którą z zimnem wyrachowaniem rozdzielano na ilość robotników; i każdy zdrowy czy chory, silny czy słaby, musiał swą porcyę odrobić choćby trupem padł. Wilgoć, chłód przejmujący był przyczyną licznych zasłabnięć na choroby płucne, które dopiero w stadyum nieuleczalnem odwożono do szpitala. Górnicy niemieccy, pracujący na akord dotkliwie pałką okładali naszych zacnych chłopków, którzy wskutek wieku nie potrafili się nagiąć do tych warunków pracy. W kopalni Tucquegnieux jeden tak długo pałką okładał

jeńca zresztą pracowitego, który zasłabł, aż ten ducha wyzionął. Za to podobno dostał dla formy 6 tygodni aresztu. Kiedy ostatni raz byłem w kopalni Landres, oświadczyli mi jeńcy: „Księże, jak długo jeszcze będzie trwać wojna; jeżeli jeszcze rok, to wszyscy sobie dzisiaj podrzynamy gardła; obliczyliśmy bowiem, że w tych warunkach za rok żaden z nas już nie będzie przy życiu, zamiast ginąć tą powolną okrutną śmiercią, zginiemy dziś". Do opłakanych warunków życia z pracy dodać należy niebezpieczeństwa ze strony awionów. Przemysł lotaryngski i zagłębie Briey grały we wojennym przemyśle niemieckim pierwszorzędną rolę. Entente'a stara się go paraliżować, przypuszcza więc na te objekty ciągłe ataki powietrzne bombami i minami najcięższego kalibru. To stawiało jeńców w bezpośredniem niebezpieczeństwie życia i było przyczyną licznych wypadków. Jak szalone wykonywano ataki świadczy fakt, że jednej nocy spadło na huty i werki Tyssen'a w Hagendingen 200 bomb najcięższego kalibru. W hutach i werkach w Maizières, Rombas i Hagendingen pracowali jeńcy na dwie szychty, dzienną i nocną — by jednym i drugim służyć, przyjeżdżałem zawsze po dwa razy. W Maizières odprawiałem dla nich nabożeństwo w kościele parafialnym w miejscu, dla oddziałów z okolicy Rombas odprawiałem nabożeństwo w kościele parafialnym w Kluange, bo proboszcz z Rombas brzydził się jeńcami i bał się by mu kościoła nie zanieczyścili a przezacny X. Becker w Kluange uświetniał nabożeństwa swą grą na organie. Stacyonowany w Joeuf, *Landsturmbatallion Graudenz* bardzo licznie zawsze się stawiał i świecił przykładem w przystępowaniu do Sakramentów św. Najwięcej trudności robił arcykatolicki Tyssen w Hagendingen. Tutaj musiałem się kontentować trupiarką werkową przybudowaną do remizy tramwajowej. Wieczorem po szychcie dziennej słuchałem w niej spowiedzi św., a rano wcześnie o godz. 4½ odprawiałem mszę św. i udzielałem komunii św., aby na godz. 6-tą mogli stawić się wszyscy do pracy. Następca tronu wiedział co robi, kiedy zaraz w pierwszych dniach

wojny zajął zagłębie Briey, odtąd codziennie szły dziesiątki pociągów z cennym surowcem do Niemiec, zwłaszcza do reńsko-westfalskich hut żelaza. Olbrzymie huty francuskie w Homécourt, Oboué, Montiers obrabowali Niemcy z urządzeń, a to, czego nie dało się wywieźć łamali na żelazo. Pod koniec przystąpili nawet do rozbierania pieców. Ta praca niszczycielska nie trwożyła wcale Francuzów. Kiedy wyraziłem im współubolewanie odrzekli spokojnie: „Niech sobie biorą stary system, a my sobie urządzimy na ich koszt huty według najnowszego systemu. Smutny był widok okupowanej Francyi; Niemcy pozabierali konie i bydło, pola jak okiem sięgnąć leżały odłogiem, zarośnięte chwastem; pasły się na nich tabuny koni wojskowych. Tu i ówdzie można było zobaczyć źle uprawione łany *Ortskommandant'a*, który spędzał do pracy na nich całą wioskę, płacąc po 50 fenigów na dzień, bez życia. Ludność żywił komitet amerykański. Od tego ordynarnego Ortskommandant'a zależni byli księża w obsługiwaniu swej parafii. Do sąsiedniej miejscowości ruszyć się nie mógł proboszcz. W Tucquegnieux n. p. zastałem *species* w stadyum rozkładu, bo Ortskommandant nie chciał pozwolić proboszczowi sąsiedniej wioski 2½ km. odległej na przyjazd. Zacnej hrabinie de St. Lis z trudnością udało się przez protekcyę sprowadzić go na uroczystość pierwszej komunii św. dzieci.

Pastoracya jeńców zajętych po farmach w gospodarstwie była dosyć mozolna z powodu rozrzucenia ich po dalekich przestrzeniach i z tego powodu, że środki komunikacyjne, które dla *Russenpfarrer,a* (jak mnie nazywano) nie były dostępne. Po całych Niemczech wolno było jeńcom brać udział w nabożeństwie parafialnem. Tutaj było to surowo zabronione. Zresztą i ludność brzydziła się tymi *sales Russes*, bo też rzeczywiście zle ubrani, naznaczeni krzyżami i dużymi numerami na plecach, rękawach i spodniach robili odrażające wrażenie. Aby im dać sposobność do wysłuchania mszy św. przynajmniej raz na dwa miesiące, zbierałem ich z kilku miejscowości lub nawet z całego dekanatu razem.

I tak odprawiałem dla nich nabożeństwa w Moulin, Gravelotte, Remilly, Orny, Fauquemont, Borny, St. Agnan, Kurzel, Boulay, Pange, Woippy, Les Bordes i Antilly. W niedzielę binowałem i bywałem w dwu miejscowościach, robiąc kilkunastu lub kilkodziesięciokilometrową przestrzeń między jedną a drugą *per pedes apostolorum*. Wolałem niedzielę poświęcić udręczonym w kopalniach, a tych w roli 'pracujących objechać w dnie powszednie; ale chłopi lotarynscy, których świetnie charakteryzuje przysłowie francuskie że: *Les Lorrains ni pour bon-Dieu ni pour les prochains*, nie chcieli mi ich uwalniać od pracy i protestowali u władzy wojskowej. I dla nich musiała się, o ile możności znaleźć niedziela. Marsze te niedzielne, częścią koleją, częścią pieszo, częścią na rowerze odbywane, miały swój urok. Od czasu do czasu przeleciał huragan żelaza nad głową; to awiony, witane gradem granatów i szrapneli, i przejmującem wyciem syren przeszkadzały ludziom w nabożeństwie. By nie dostać jakim odłamkiem żelaza w głowę, trzeba było schować się gdzieś bodaj pod mostek. To samotne, włóczęgowskie życie uprzyjemniała mi miła życzliwość księży lotaryngskich, zapalonych patryotów francuskich. Nadzwyczaj gościnnego przyjęcia doznawałem u dziekana X. Dorvaux we Fauquemont i u dziekana X. Maire w Pournoy-la-Grasse. Miłe odetchnienie miałem u Sióstr Miłosierdzia w Boulay, Moulin i Homécourt. Liczne placówki już i tak sprawiały kłopot w układaniu planu pracy, a władze wojskowe ciągle go jeszcze utrudniały, kreśliły, zmieniały: *Sitzen sie nur ruhig zu Hause und lassen sie uns die Leute ruhig arbeiten* albo też: *Wir müssen unsere Kräfte anstrengen zum Arbeiten und Siegen und nicht zum Beten*, lub *Mögen alle in die Hölle kommen, Hauptsache dass wir Brot haben*, lub *Lassen sie das Polen sein, es hängt weder von ihnen noch von mir ab den Leuten Polen zu geben* brzmiała zawsze złośliwa uwaga nadętego pruskiego junkra. Często aprobowano plan objazdów tylko warunkowo *soweit die Arbeit es erlaubt*, a wtedy bardzo łatwo kommendant obozu

powiedział sobie *die Arbeit erlaubt es nicht* i musiałem odjechać z niczem.

Co do nastroju religijnego wśród jeńców, to był on na ogół bardzo dobry; z 2000 tylko 300 nie przystąpiło do spowiedzi wielkanocnej. Cierpienia i przejścia wywołały w słabych lub niewyrobionych duszach pewien żal do Pana Boga. Jak zbolałe i zrozpaczone były serca niektórych, świadczy n. p. fakt, który mnie spotkał tuż przed zawieszeniem broni w barakach na dworcu towarowym w Metzu. Po mszy św., którą tam musiałem odprawiać w ciemnej i brudnej separatce opatrunkowej wystąpił jeden z Polaków i z goryczą się odezwał: „Gdyby był Bóg, toby był dawno ukarał ten szatański naród i nie pozwoliłby nas tak po barbarzyńsku traktować". Po tych słowach wszyscy opuścili salę. Wkrótce jednak dał im dobry P. Bóg odpowiedź, bo za niecałe dwa tygodnie nastąpiło załamanie się militarnej potęgi pruskiej i teraz z pewnością z miłością wspominają sobie o tym dobrym Bogu, który docierał do brudnych baraków, ofiarę miłości składał na prostym stole za cierpiących. Podczas gdy komisye humanitarne dla oka i fanfaronady zwiedzały obozy, by wiele gadać i pisać, to Chrystus jedyny zbierał ich łzy, oceniał ich trudy i prace i kładł na szali losów ojczyzny i przeważył je. Na ogół choć te dusze były zmiażdżone cierpieniem, przygnębione strasznemi przejściami, to jednak zachowały młodzieńczo-świeżą wiarę.

Dziesiątki batalionów robotniczych utworzonych z jeńców wojennych gnali Niemcy do robót wprost na froncie. Rzadko znalazł się ksiądz wojskowy, któryby znał język polski, a dla mnie wprost było niepodobnem wszędzie być i wyszukiwać ich, bo ich ciągle w miarę potrzeby przerzucano. Mogłem służyć spowiedzią wielkanocną Polakom z 115 batalionu robotniczego, który stał w Malmaison i Polakom z 82 batalionu robotniczego, który stał w Amanvillér. Już i tak kręciłem się na odcinkach trzech armii: armi V., A. A. C., i *Abschnitt* Metz, co nieraz było przyczyną, że żandarmerya polowa przytrzymywała mnie jako podejrzanego.

Wiadomo jak Niemcy chytrą agitacyą albo przymusową branką zdobywali robotników w Polsce. Takich robotników spotkałem przy pracy koło fortyfikacyi Metzu. Wojskowość, zdając sobie sprawę ze swej dyktatury na podstawie konieczności wojennych, wyszafowała na rozszerzenie fortyfikacyi Metzu setki milionów a może i miliardy, których w czasie pokojowym państwo nigdyby nie przyznało. Przy tej robocie czynny był cały szereg firm jak: Weiss und Freitag, Bauwens, Bolz, Westfälische Bauindustrie, Fix und Söhne, Kallenbach, Werner und Weiss, Deutsche Tiefbaugesellschaft, Münchner Tiefbaugesellschaft, Münchner Betongesellschaft. Tym firmom dostarczała wojskowość pomiędzy innymi także robotników z Polski. Robotnik podpisywał kontrakt niby dobrowolnie, ale skoro minął termin i chciał wrócić do kraju, zmuszano go do podpisywania nowego „dobrowolnego“ kontraktu i nękano go represyami aż kontrakt podpisał. Rzekomych buntowników rozdzielano na różne firmy. Pojechałem n. p. razu pewnego do robotników pracujących w okolicy Marieulles, oczekiwałem ich w kościele aż do godziny 8-mej wieczorem, a kiedy nie było ich widać poszliśmy z proboszczem do baraków. Zastaliśmy kilku, którzy nam oświadczyli, że reszta we więzieniu za to, że do domu chcą jechać. Zarabiali stosunkowo wiele; na akord pracując dochodzili od 16. do 18. M. dziennie, za życie odciągano im 4. M. mogliby zatem coś odłożyć na wsparcie swoich w kraju. Niemcy jednak trzymali się metody, aby robotnik obcokrajowiec i pracę i cały zarobek zostawił w Niemczech i dostarczali mu po temu różnych sposobności.

Według statystyki podanej mi przez zarząd wojskowy „Fortifikation Metz-Ost“ było przy wymienionych firmach zajętych koło 400 Polaków obojga płci. Ponieważ byli rozproszeni po kilku miejscach, poświęciłem cały tydzień, by im służyć spowiedzią wielkanocną. Najpierw firmy podniosły krzyk w obronie robotnika, że w razie przyjazdu księdza, robotnik straci pół dnia pracy, co go narazi przynajmniej

na 6 M. straty, a 400 + 6 = 2,400 M. Sumy takiej pozbawić robotnika, to okrucieństwo. Żeby im oszczędzić tej rzekomej krzywdy urządziłem spowiedź wieczorem po pracy, a komunię świętą i mszę św. rano przed pracą. Ponieważ w barakach nie było odpowiedniego kącika, zapraszałem ich do poblizkich kościołów w Pournoy-la-Grasse, Sillegny, Marieulle, Pontry, Mécleuves. Podczas dnia, by się z nimi zaznajomić, odwiedzałem ich po barakach i w miejscach pracy. Stosunkowo okazali mało dobrej woli, bo z 400 tylko 68 przystąpiło do Sakramentów św. Bardzo zły wpływ wywierali na tych przeważnie 18-letnich lekkomyślnych chłopaków żydzi, którzy stanowili tutaj dziwnym sposobem większość. A zresztą, kiedy roślinkę przesadzi się na obcy grunt, który jej nie służy, to ona karłowacieje, taksamo Polak, w Ojczyźnie gorliwy katolik, obojętnieje zwykle kiedy się znajdzie na obczyźnie, chyba, że znajdzie się w środowisku, które mu choć w części zastąpi Ojczyznę.

W hutach i werkach Tyssenowskich w Hagendingen pracowało podczas wojny koło 100 robotników polskich, którzy tutaj już podobno za czasów pokojowych byli. Jeździł zwykle do nich ze spowiedzią wielkanocną O. Leonard, franciszkanin z Metzu, który przez pobyt w klasztorze św. Anny na Śląsku nauczył się języka polskiego; ale przychodzili zwykle tylko kilku. Myślał O. Henryk franciszkanin, proboszcz kolonii robotniczej w Hagendingen, że jeżeli przyjedzie do nich kapłan z Krakowa, to się stawią liczniej, ale się także zawiódł, bo przystąpiło ich do Sakramentów św. zaledwie 18-tu. Wogóle wielki przemysł stwarza warunki dla duszpasterza nie zbyt pocieszne i teologia pasterska powinna mu poświęcić szczególniejsze studya. Robotnik wpleciony w te maszynerye, siłą rzeczy bywa odciągnięty od praktyk religijnych. Podczas moich objazdów spotkałem jeszcze 10 rodzin polskich w Oboué i 2 rodziny w Sancy.

Po usunięciu się Niemców i zajęciu Lotaryngii przez Francyę, choć jeńcy zostali, to jednak nie mogłem dalej się nimi zajmować. Na załatwienie formalności paszportowych

czekałem jeszcze dosyć długo, tak iż dopiero na Matkę Boską Gromniczną 1919 r. stanąłem w domu macierzystym w Paryżu. Z domu macierzystego mam jak najlepsze wspomnienia, a przełożonych opatrznościowych na te czasy pokochałem serdecznie. Do chwil najuroczystszych z mego pobytu w Paryżu należy sprowadzenie relikwii naszego świętego Ojca i naszych braci błogosławionych napowrót do domu św. Łazarza. Po odprawieniu rekolekcyi objąłem urząd kapelana w zakładzie polskim pod wezwaniem św. Kazimierza na ulicy Chevaleret 119, i na każde wezwanie spieszyłem z pomocą X. prałatowi Postawce, rektorowi kościoła polskiego w Paryżu, bo staruszek 84-letni już zupełnie zniedołężniały. Po wyjeździe kapelanów wojskowych z armią gen. Hallera do Polski zająłem się także na zaproszenie Komitetu opieki nad żołnierzem polskim, aż do mego wyjazdu chorymi żołnierzami Polakami po szpitalach wojskowych w Paryżu i okolicy. Po moim wyjeździe do Krakowa zaopiekował się zakładem polskim X. Larigaldi konfrater francuski, który oddawna z poświęceniem tam pracuje.

X. A. Sinka C. M.

Wśród wojny.

Po inwazyi ukraińskiej.

Milatyn nowy, 15. lipca 1915.

Przewielebny księże Wizytatorze!

Łaska Pana naszego J. Ch. n. b. z. z. n.!

Prawie dziesięć miesięcy nie dawałem żadnego znaku życia ani o sobie ani o swoich, gdyż nie było sposobu i do dziś nie mamy poczty. Przez ten przeciąg czasu przechodziliśmy tu wiele wszyscy i ucierpieliśmy nie mało. Oto garstka wiadomości, które myślę, interesować będą ks. Wizytatora:

Dnia 2. listopada z. r. delegat ukraińskiej rady narodowej zawiadomił mnie osobiście, że odtąd podlegamy władzy ukraińskiej, polecił, aby działać uspakajająco na ludność zwłaszcza polskiej narodowości, a broń Boże nigdzie nie występować przeciw nowej władzy. Zapewnił, że narodowość polska mieć będzie zupełnie swobodę i żadnych represyi obawiać się nie potrzebuje. Mimo zapewnienia takiego w niedługim czasie już odczuliśmy ciężką rękę ukraińców. Raz po raz zjawiały się patrole przeprowadzające ścisłą rewizyę domu i kościoła, posądzono nas, że mamy styczność z Polakami, ze Lwowem, że przechowujemy amunicyi dużo i karabiny maszynowe, a nawet armaty. Takich rewizyi było bardzo wiele. Dnia 30. listopada zajechało kilku wojskowych z atamanem na czele, wszyscy uzbrojeni w karabiny i rewolwery i zabrano nam konie, wóz, uprząż, a odgrażając się odjechali. Dnia 4. grudnia wpadła cała banda do domu, zajęli pokoje gwałtem, nakazali sobie dać obiad na 15 osób,

dla kobiet, które z sobą przywieźli nakazali dać ciepłe mieszkanie, najlepszą pościel, domagali się wódki, wina; rozgościli się jak u siebie i gospodarzyli, przyczem dla swych koni zabrali dużo owsa, siana, nadto zabrali kilkanaście kur, nową uprząż, aparat fotograficzny, a gdy im brat Władysław robił wyrzuty, nabili go nahajkami. Na Boże Narodzenie mieli nas aresztować, jak nam w sekrecie donoszono, ale jakoś święta minęły spokojnie, jednak 5. stycznia zabrano mnie i X. Brukwickiego i nocą odstawiono do Kamionki, tam bez przesłuchania, bez protokołu wtrącono do koszar pomiędzy innych aresztowanych, a na drugi dzień odstawiono do Złoczowa. X. Brukwicki wytłomaczył się w Kamionce że chory (bo istotnie był wtedy chory na hiszpankę) wypuszczono go, ale jako internowanego do domu. Ode mnie żądano w Kamionce 10,000 kor. ponieważ ich nie miałem musiałem podzielać los innych. Droga z Kamionki do Złoczowa była straszna, pastwiono się nad nami i znęcano, znieważano w sposób nieludzki, nieszczędzono najpodlejszych nazwisk, wielu z nas obrabowanych zostało zupełnie, popychano nas i kułakami bito, nie wiedzieć za co.

W Złoczowie byłem nie dlugo, bo zaledwie 10 dni. Dzięki dobrym ludziom i Siostrom małem tam opiekę. Siostry nasze przysłały poduszkę i koc, więc nie odczuwałem zimna, a także i wikt przesyłały mi, więc miałem się lepiej aniżeli inni więźniowie. Jestem serdecznie wdzięczny Siostrom za osłodzenie mi tej ciężkiej doli. Niech im Bóg wynagrodzi tę ich dobroć i uczynność. Moi parafianie poruszyli niebo i ziemię, aby mnie wydostać z kryminału, chodzili po różnych władzach, obiecywałi największą kaucyę, zbierali podpisy, nachodzili księży ruskich, i po długich staraniach przyjechali do Złoczowa i tak błagali, tak nachodzili władze ukraińskie, że te nareszcie zdecydowały się wypuścić mnie. Dziwiono się tylko w Złoczowie bardzo i pytano co to za Jegomość polski, za którym tylu księży, tylu wójtów ukraińskich i tylu parafian błaga i prosi. Uwolniono mnie więc i konfinowano w domu. Siedzieliśmy cicho, nie

wolno nam było nigdzie się ruszać, ledwie cichaczem z posługą duchowną w parafii, kazań w kościele nie głosiliśmy, rewizye co parę dni nachodziły nas. Nareszcie nadszedł 1 maj. Dnia tego zjechał jakiś sztab z wojskiem do nas. Pierwsza rzecz, że aresztowano nas wszystkich. Po przesłuchaniu wypuszczono na wolność, lecz odtąd wolności nie mieliśmy żadnej. Zabrano probostwo całe na mieszkanie, gospodarzono przez 3 tygodnie nareszcie oznajmiono, że musimy się wynieść z probostwa, ale Bóg cudowny zrządził, że cały sztab wyniósł się w pospiechu od nas 18. maja w niedzielę. Wieczorem przed odjazdem sztabu oczekiwaliśmy naszego aresztowania. O godzinie 10½ wieczorem zjawił się cichaczem student milatyński z listem od ukraińskiego żandarma, w którym donosi: Jutro Was Ojcowie postanowiono aresztować i wywiść, radzę pochować się dobrze lub uciekać (ale gdzie?) a w każdym razie gorąco się pomodlić u stóp Jezusa cudownego, ja całą noc pracować będę nad tem, aby Was nie aresztowano. Po przeczytaniu listu ochłonęliśmy nieco, poszliśmy na spoczynek, aby nieco nerwy uspokoić. Wczesnym rankiem poszliśmy do kościoła, polecić się P. Bogu. Powróciwszy z kościoła nie zastaliśmy żywej duszy ukraińskiej w całym Milatynie. Zdawało się nam, żeśmy ocaleli i wyszli cało, tymczasem dopiero teraz najstraszniejsze nadeszły chwile. Oto banda za bandą zjawiała się u nas, co jedna gorsza i piekielniejsza. Przedewszystkiem szukano za księżmi, rabowano, rozbijano cały dom, zabrano: 1 wóz nowy, 2 wózki, 1 powóz, 5 pościeli kompletnych, bieliznę brudną, bieliznę czystą, naczynia kuchenne, wszystką słomę, wszystko siano, konie. krowy, kury, rozbito szpichlerz i zrabowano. Popołudniu, gdy się nieco uspokoiło wyszedłem z mojej kryjówki do domu. Ledwie stanąłem w izbie już słyszę krzyki na korytarzu, zamykam drzwi i słucham, nowa banda przeszukuje wszystkie mieszkania, dobija się nareszcie do mnie. Wiedziałem co mnie czeka, gdy otworzę. Postanowiłem wyskoczyć oknem z piętra. Siadłem na oknie, przeżegnałem się i myślę skoczyć, ale nuż złamię nogę albo

skręcę kark, szkoda życia, idę do drzwi, które już wyważają, odmykam, napadają na mnie z krzykiem i aresztują pod pozorem, że mam telefony z Polakami, tłumaczę im, że to telefon zepsuty już i przerwany, na nic moje tłomaczenie, „zbieraj się, a żywo“ odpowiadają mi ze złością. Na takie *dictum acerbum* poprosiłem ich grzecznie, aby mi pozwolili się zebrać, w odpowiedzi na to dostałem dwa razy kolbą w piersi, aż zajęknąłem, a widząc jak rozbijają biurko, jak aparat telefoniczny wyrywają ze ściany, wysunąłem się niepostrzeżenie za drzwi i dałem drapaka do kościoła, gdzie się schowałem do ostatniej dziury wraz z X. Brukwickim i X. Hładkiem. W panice zapomniałem w stancyi płaszcz, w którym było 1662 kor., 400 marek i kilkadziesiąt karbowańców, naturalnie płaszcz z pieniędzmi zabrali, karbowańce podarli i rozrzucili po podłodze, widocznie w ukraińskie pieniądze sami ukraińcy nie wierzyli. Uderz pasterza, a rozprasza się owce. Brat Władysław, którego także aresztowali, widząc, żem dał drapaka poszedł w moje ślady. Teraz nikogo w domu nie było, w obec czego zaczęły bandy hajdamackie gospodarzyć. We wtorek 20 maja nadeszła rezerwa z pod frontu z cygańską muzyką, wszystko zakwaterowało się na probostwie. Zajęli więc dom cały, kurytarze, kuchnię, stodołę, stajnie, szopy, ogród ładnie zasiany, zaczęły się całą noc orgie, pijatyka, muzyka, tańce, rabowano do reszty, rozrzucano wszystkie skrypta, szuflady, księgozbiór, księgi parafialne rozrzucono, w oratoryum zabrano obrus, z ołtarza wyrzucono portatile, pobrano zegary. Godne uwagi to, że kazania moje pisane rozrzucono po całej stancyi, a kazanie o kradzieży i restytucyi schowano do kasy Wertheimowskiej. Bawiono się całą noc z wtorku na środę. We środę 21 maja około 11 godz. przed południem zaczęła się batalia. Kanonada straszna, armaty i maszynowe karabiny huczały blisko w ogrodzie naszym i tuż za kościołem. Pod wieczór widzieliśmy z kryjówki naszej jak Ukraińcy uciekać zaczęli z ogrodu, miarkowaliśmy, że nadchodzi dla nas upragniona chwila. Około godz. 8. wieczorem 21. maja przybyli nasi wybawi-

ciele witani gorąco przez nas i naszych parafian. Skończyła się nasza niewola, gorsza, niźli żydowska w Egipcie. Wojska moc wielka, wszystko uśmiechnęte, wita się z nami, tak prości szeregowcy, jak i oficerowie.

Przez noc Ukraińcom nadeszła znaczniejsza pomoc — nie dali za wygrane. Od Kozłowa i Kędzierzawiec zaczęła się silna kanonada nazajutrz 22. maja już o godz. 6 rano. Nasi zaczęli się bronić całą siłą. Z podworca kościelnego zrobiono na prędce fortecę, w murach otaczających kościół porobiono otwory i 13 karabinami maszynowemi ostrzeliwano wroga, który (jak twierdzi komenda nasza) bronił się nadzwyczajnie. Były chwile, że się nasi wahali, a nawet już wozy z amunicyą i tren począł się cofać. Widząc to wahanie i niepewność uciekaliśmy z domu wśród tysiąca kul do Żelechowa. Widocznie Bóg czuwał nad nami, bo mimo tysiącznych pocisków świszczących nad głowami naszymi, zaczołgaliśmy się na czworakach poza Milatyn a potem w największym pędzie dotarliśmy daleko w pole, szczęśliwie i bez wypadku. Życie jednak nasze wisiało na nitce. Wieczorem tegoż dnia powróciliśmy do domu gratulując naszym zwycięstwa i powodzenia. Na drugi dzień wojsko poszło dalej, my zaś dziękowaliśmy dobroci Bożej za nasze ocalenie. W niedzielę następną urządziliśmy dziękczynne nabożeństwo w czasie którego muzyka II. pułku ułanów przygrywała. X. Hładki wygłosił piękne kazanie patryotyczne. Od tego czasu mamy spokój. Młodzież nasza zapisuje się dobrowolnie w szeregi wojskowe, wszyscy cieszymy się niezmiernie, że już żyjemy w wolnej niepodległej Polsce.

Po miesiącu szczęścia zaczęły się dla nas znowu dni smutne. Złowrogie wieści straszyły nas, że nasze wojska polskie w popłochu się cofają. Nie chcieliśmy wierzyć temu, sądząc, że to wymysł żydów i rusinów. W istocie jednak była to prawda. Oto na drugi dzień oktawy Bożego Ciała 20. czerwca zjawia się do nas X. Wilkoń z siostrą swoją nauczycielką, prosząc nas o gościnę, tłomaczy jak ledwie z życiem uciekł z Berezowicy małej ad Zbaraż. Na drugi

dzień 3. OO. Domnikanów i 2. Braciszków Dominikańskich z Podkamienia także do nas się zjawiło. nadto X. Buk, proboszcz z Podhorzec, widzimy, że to nie strachy, lecz prawda. temwięcej, że wiele fur z ludźmi uciekało szosą w stronę Lwową. Uradziliśmy, aby także uciekać. Tak nam dokuczyli kochani bracia nasi Ukraińcy, że woleliśmy wszystko utracić, a nie zostać, a wychodziliśmy z tej zasady: Parafia nie ucierpi nic, chociaż ją opuścimy, bo i tak Parafii na nic się nie zdamy, gdyż Ukraińcy albo nas zaaresztują i wywiozą, albo też zamordują, zresztą w każdej wsi jest ksiądz ruski, który w ostateczności może zaspokoić potrzeby parafian. Oddałem rachunki kościelne komitetowi kościelnemu i postanowilem Milatyn opuścić. Bracia Antoni i Władysław pozostali, aby chować resztki sprzętów kościelnych i domowych. X. Brukwicki, który swego Patrona św. Piotra naśladuje w bojaźni i prędkości uciekł pierwszy, ja zaś z X. Hładkiem wyjechaliśmy później. Dojechaliśmy atoli tylko do Żelechowa t. j. 6 kilometrów od domu. Tam napotkaliśmy ukochanych naszych Halerczyków, którzy nas pocieszyli i do domu zawrócili. W domu zastałem bardzo wielu gospodarzy z Milna, Trościańca, Załońca. Zbaraża, Podhorzec, Oleska, którzy w panice uciekając tu się schronili wraz z dobytkiem swoim jaki zdołali z sobą zabrać. Nadeszli więc Halerczycy do nas i okolicznych wsi, lecz bawili tylko 2 dni i zaraz ruszyli w stronę Złoczowa, a za nimi i ludność cywilna, został się tylko X. Szkodnicki, ekspozyt z Sokołówki ad Brody, któremu władze nie pozwoliły jeszcze powracać. Zdarzył się niemiły wypadek u nas w czasie pobytu Halerczyków. Chłopak 18-letni z Podhorzec oglądając na podwórzu karabin jakiegoś żołnierza był nieostrożny przytem, bo oto karabin wypalił i położył na miejscu konia majora francuskiego. Przeważnie bowiem oficerowie wyżsi są przy wojsku Halera francuzi. Pan Major trochę się zafrasował tym wypadkiem, po chwili jednak sam oprawił i ściągnął skórę swego ukochanego siwka, który także z francuskiej

ziemi z nim przybył, mięso rozdzielił między żołnierzy i z dobrym humorem pojechał dalej.

Ludność ruska zapatruje się sceptycznie na rządy polskie, żyje ciągle nadzieją, że Ukraina jeszcze tu nadejdzie, również żydostwo nie zadowolone z naszych rządów. Chłopstwo ukrywa podobno mnóstwo karabinów i amunicyi wrogo patrzy na wszystko co się dzieje, rozognione wszystko po wsiach represyami jakich Polacy użyć musieli, aby w spokoju utrzymać lud. Pozbierano niebezpieczne individua księży, nauczycieli, prowoderów, uwięziono dawniejszych wójtów, pobrano po kilku zakładników z każdej wsi, porobiono wójtami samych Polaków, zabiera się ustawicznie wiele forszpanów, więc chłopstwo syczy i rzuca się cichaczem i gniewa na Polaków, tym więcej, że żandarmerya nie żałuje nahajek i urządza ustawicznie rewizye. Mamy i my tu dosyć kłopotu, bo rusini nachodzą nas z prośbami, aby się wstawiać za nimi, a zapominają, że gdy nas męczono, nikt się nie wstawiał za Polakami. Może da Bóg dobry, że już nie odczujemy knuta ukraińskiego i gospodarki ukraińskiej, która się dała wszyskim we znaki, a zwłaszcza dworom i plebaniom. Słyszymy do dziś jeszcze huk armat, ale daleki. Codzień prosimy Boga, aby nam już przebaczył i dał koniec tej wojny tak strasznej i długiej. Nieraz myślę sobie: był to mądry człowiek, który wymyślił suplikacye, nie rozumiałem, dopiero dziś rozumiem co to znaczy wojna, jaka to straszna kara Boska i dlatego dziś rozumiem dobrze dlaczego każe nam kościół śpiewać: „od powietrza, głodu, ognia i wojny“. Kto się przejedzie po wsiach i miasteczkach Galicyi wschodniej będzie z pewnością pokornie wołał do Boga: „od powietrza, głodu, ognia i wojny“. Z wojną idzie straszny głód, ludzie bez ubrania i obuwia, mieli ubranie wojskowe i obuwie lecz im to zabrano, zabrano zboże, siano, wiele pola nieuprawionego, wiele wsi i miasteczek popalonych, a teraz nowa klęska, straszny tyfus panuje w okolicznych wioskach, tyfus brzuszny i tyfus plamisty, a co najciekawsze to, że niektórzy ludzie chorują tu na tyfus i dwa

i trzy razy. Lekarzy nie ma, a o lekarstwach nawet marzyć nie można.

Oto garsteczka wiadomości z tych kilku miesięcy, a zwłaszcza z czasów panowania Ukrainy sławetnej. Często wspominaliśmy o naszych konfratrach we Lwowie i Krakowie, często myślą przenosiliśmy się do X. Wizytatora, lecz listu pisać ani myśli, bo i nie było sposobu. Przeżyliśmy wiele, ale wszystko minęło, pozostało tylko wspomnienie i zasługa, jeśliśmy z przejść tych umieli skorzystać: *Diligentibus Deum omnia cooperantur in bonum.*

Pierwszy list X. Rossmanna z Jezierzan po ich uwolnieniu z inwazyi rosyjskiej.

Jezierzany, 26 lipca 1917.

Przewielebny księże Wizytatorze!

Wreszcie nadarza się sposobność napisania kilku słów. W sobotę przeszłą wkroczyły koło 9 tej z rana pierwsze patrole do nas i wybawiły nas z tego prawdziwego piekła. Okropne dla nas były ostatnie dni pobytu Moskali w tych stronach. Tego nie można nazwać wojskiem, ale bandy rozbójników w najgorszem tego słowa znaczeniu. Oddawca tego listu, nadstrażnik skarbowy, bardzo poczciwy i pobożny człowiek, który także całą wojnę z nami w Jezierzanach przeżył, może dużo opowiedzieć. Spalono w Jezierzanach 120 domów i szkołę, nasz dom jakoś Opatrzność ochroniła i kościół. Ale zostaliśmy dobrze obrabowani może na jakie 3 do 4000 koron wartości. Ledwośmy z życiem uciekli i całą ostatnią noc każdy po polach w kukurydzy się kryli. Z dziesięć band zbójeckich jedna za drugą dom nasz nawiedzały. Gdyśmy nad ranem zaczęli powoli i ostrożnie się zbierać i wreszcie do domu weszli, przedstawił się cały obraz spustoszenia. Wszystko poprzewracane, porozbijane i porozrzucane. Co było nawet zapasów, trochę żywności i to pozabierano. Ja musiałem się okupić 500 rublami kozakom, którzy z szablami wyciągniętymi nademną stali. I dobrze

żem potem uciekł, bo ta sama banda jeszcze parę razy wracała i parę godzin za księżmi i za mną szukała. To samo działo się w całych Jezierzanach i w okolicy. Staremu Kohlkopfowi z Zalesia zrabowali 20.000 koron i tak obili, że ledwo biedak się rusza. Sochackiemu skradli konie, krowę, sklep, który założył w czasie wojny obrabowali, starego nabili i dwa zęby wytłukli.

Miasto Czortków, o ile słyszałem, także bardzo zrabowane, ale nie spalone, tak samo Borszczów. O Czerwonogrodzie i Zaleszczykach na razie nie wiem.

Przy tych wszystkich kłopotach i doświadczeniach, tyle przynajmniej Bogu dziękować, że jako tako co do zdrowia się trzymamy. Nie ma czasu by się więcej rozpisywać, ale myślę, że pewno wkrótce Przew. X. Wizytator nasze kąty zakazane choć na chwilę odwiedzi, to wtedy więcej pomówimy. Oby tylko Opatrzność Boża nas strzegła, by ta banda zbójecka znowu tu nie przyszła, bo nie wiem, czybyśmy z życiem uszli.

Kończę i polecam się modlitwom Przewieleb. X. Wizytatora oraz kochanych Konfratrów i załączamy wyrazy czci i poważania i serdeczne pozdrowienia — w miłości Zbawiciela i Niep. Maryi oddany sługa

X. J. Rossmann.

Drugi list X. Rossmana po inwazyi rosyjskiej.

Jezierzany, 2 września 1917.

Czcigodny księże Wizytatorze!

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami!

List Przew. X. Wizytatora otrzymaliśmy dzisiaj i serdeczne „Bóg zapłać“ za to ciepło serdeczne i troskliwość o nas oraz za modlitwę. Podniósł nas niezmiernie na duchu i nie mieliśmy już oddawna tak miłej rekreacyi jak dzisiaj. Tętno życia osłabione tylu przejściami i cierpieniami przez te trzy ata zaczęło żywiej bić, owiane ciepłem tylu serc bratnich

i Przełożonego, z którymi poczuliśmy się znowu złączeni. Jeszcze raz „Bóg zapłać“ i odemnie i od Konfratrów. Piszę dziś zaraz, bo nadarza się sposobność przesłania ztąd listu, bo niestety dotąd poczty nie mamy, czychać więc tylko trzeba na sposobność. Może to wkrótce będzie inaczej. Ruszyć się stąd także na razie trudno, już to z powodu braków połączeń kolejowych, już też wskutek trudności dostania paszportu. Ale jak tylko się da, nie zaniedbam jak najprędzej skorzystać z pozwolenia Czcigodnego X. Wizytatora i ruszyć do Lwowa albo i Krakowa. W domu mamy rozgardyasz wielki, jak w czasie całej wojny; mieści się u nas szpital wojskowy, większą część domu obrócono na ten cel, ściskamy się zatem jak możemy, a już najgorzej Superyor na tem wychodzi, bo u niego i refektarz i sala rekreacyjna i kancelarya parafialna i sala przyjęć, po części i śpiżarnia, a rozumie się i jego sypialnia i mieszkanie i to od przeszło 2 lat. Byliśmy nawet w ostatnich czasach skazani na menaż wojenny przez 2 tygodnie bo nam i kuchnię zabrano, ale Bogu dzięki już się to skończyło. Konfratrzy jakoś się trzymają co do zdrowia, chociaż wikt wojenny i niewygód dużo. Ale Bogu dzięki za Jego Opatrzność nad nami przez cały ten czas wojny. Oby i nadal Bóg nad nami czuwał. X. Masny, jak pewno już Przew. X. Wizytarowi wiadomo od X. Arcybiskupa, jest w Czerwonogrodzie od maja 1915 r. na probostwie. Było tam dużo kłopotów po śmierci X. Dziekana. Może konsystorz teraz inaczej tam zechce zarządzić. Przydał nam się tu wobec tego X. Sł. posłany ze Lwowa. Miałem także wiadomość z Czerwonogrodu i Zaleszczyk, że w czasie odwrotu Moskali oba domy wyszły jakoś cało i nie poniosły znacznych szkód. Cieszy mnie bardzo wiadomość, że św. Krzyż ma być nasz. Toż to kolebka Zgromadzenia naszego w Polsce, dzieło osobiste św. Wincentego. Oby Bóg dopomógł doprawadzić do szczęśliwego końca. Współczujemy boleśnie stratę tylu konfratrów; oby młode pokolenie to wynagrodziło i co do ilości, a przedewszystkiem co do jakości.

Kończę już i polecamy się modlitwom Czcigodnego X. Wizytatora i pozdrawiając serdecznie kochanych Konfratrów — zostaję w miłości Zbawiciela i Niepokal. Maryi oddany sługa

X. J. Rossmann.

P. S. List otrzymałem tylko jeden przez Rumunię, ale nie mogłem odpisać, bo poczty nie mieliśmy żadnej, a zresztą człek bał się własnego cienia.

Po inwazyi ukraińskiej list Superyora w Jezierzanach X. Franciszka Wrodarczyka.

Jezierzany, 17. lipca 1919.

Najprzewielebniejszy księże Wizytatorze!

Matka Boska Szkaplerzna, rozkuła nas z pętów ukraińskich, w których jęczeliśmy przez ośm miesięcy, a ciężkie były, szczególniej w ostatnich czasach, i w ostatnich dniach, gorąco nam było, za każdem uderzeniem dzwonka koło furty wstrząsu nerwowego dostało się. Wychodź do takich ludzi i gadaj i kręć na wszystkie strony, aby uniknąć „umeblowanych pokojów“ i kwatiry. Od wczoraj oddychamy swobodniej. Dzięki Panu Bogu zdrowi wszyscy jesteśmy, jakkolwiek mieliśmy i mamy ciągle do czynienia z hiszpanką i tyfusami: głodowym i plamistym. X. Wojnowski w Żabińcach umarł nań, bo musiał uciekać z domu przed Ukraińcami. Myśmy ostatnią noc z 15. na 16. lipca spędzili pod gołem niebem na trawie w krzakach, bo było bardzo duszno, zato dwonek nie miał spoczynku, żołnierze prosili o chleb i mleko, krowy nie mamy, chleb zaś nam się skończył, mąka wyszła, do młyna zaś trudno pojechać, bo furmanki nie podobna dostać za żadną cenę, wszyscy się pochowali z końmi w lasach, wozy pozakopywali, aby ujść rabunków. Bosa armia tak ściągała obuwie z ludzi, że do kościoła chodzili boso, niektórzy zaś wstydząc się, wcale nie przychodzili. Dom bardzo zniszczony, taksamo budynki gospodarskie,

broniłem co mogłem, lecz żołnierz nawet przed nahajkami w ostatnich czasach nie cofał się. Przed samym przybyciem naszych mnie obrabowano, zabrano mi zegarek, pieniądze i inne drobne rzeczy, stawałem bowiem w mojem mieszkaniu przed ukraińską komisyą asenterunkową, składającą się z trzech uzbrojonych drabów, dosyć, że mnie w butach i podartym płaszczu zostawiono.

Niech będzie Panu Bogu za wszystkie łaski dzięka serdeczna. Tak ciężko nam było nieraz, tak czuliśmy się zmęczeni ciężką atmosferą w koło nas otaczającą, że nawet sił do modlitwy nam brakowało, pocieszaliśmy się tą myślą, że kochany X. Wizytator za nas się modli, zwłaszcza pamięta o nas przy mszy św., bo to jedyny dom nasz w ostatnich czasach pod panowaniem ukraińców. Nie zawiodła nas ufność w Panu Bogu, modliliśmy się bardzo do M. B. cudownego medalika, św. Wincentego i św. Anny, mamy więc do zawdzięczenia im, żeśmy uniknęli rabunków, rewizyi, rekwizycyi, które się inteligencyi naszej, nawet prostemu ludkowi dały bardzo we znaki. Skradli nam tylko świnkę za 800 koron, kilka kur i cebuli z ogródka. Przy tem wszystkiem dużo nacierpieliśmy się wewnętrznie, zwłaszcza gdyśmy się dowiedzieli, że dominujący na całą okolicę nasz kościół, miał być zburzony. Cieszyliśmy się, że nasi w Zielone Świątki cofnęli się z pod Czortkowa, widzieliśmy w tem palec Boży. Wszystkie okopy strzeleckie w okolicy skierowone na nasz kościół, aż serce bolało i pękało ze żalu, tymczasem wczoraj przyszli nasi Polacy z innej strony wbrew oczekiwaniu Ukraińców i kościołowi żadna szkoda się nie stała, zato ich armia a szczególniej ich wyposażenie doznały ciężkich strat.

W sobotę obchodzić będziemy odpust św. Anny, nie wiem, jak się uda, bo podczas wojny rozmaicie się dzieje.

Jeszcze raz dziękuję serdecznie za modlitwy i polecamy się im nadal i prosimy o błogosławieństwo — niegodny sługa w Chrystusie

X. Franciszek Wrodarczyk.

Wspomnienia z wojny światowej.

Kiedy to w pierwszych dniach września 1914 r. po raz pierwszy wdziewałem suknię św. Wincentego, odezwał się do mnie jeden z przyszłych konfratrów: „Nie tak obojętnie, kolego, nie odkładaj tak obojętnie tej marynarki, a zwłaszcza tej ślicznej krawatki, lecz pomyśl, że już nigdy, nigdy w tem życiu nie złożysz z siebie sutanny". Nigdy! — odpowiedziałem w duchu z rezygnacyą i tylko jeden wiedział w tej chwili, że za cztery lata każą mi zawiesić suknię duchowną do szafy, a na jej miejsce przywdziać szary mundur znienawidzonego żołdaka pruskiego.

Pewnego mroźnego dnia listopadowego 1914 r. znalazłem się po kilkumiesięcznem oczekiwaniu w domu razem z czterema konfratrami w koszarach piechoty w Opolu. Nazajutrz wzięliśmy udział w krzykliwym obrzędzie obłóczyn. Ceremonia nie trwała długo. Szczęśliwy, komu los przeznaczył kawałek na wyrost, bo kto dostał za mały mundur, tego gwałtem wtłaczano do niego, ale i z tem jeszcze było pół biedy. Gorsza była sprawa z butami. Z resztek obuwia, które setki razy już przebierane w nieładzie leżało na podłodze, szybko trzeba było wybrać sobie jedną parę, a w tym pospiechu najczęściej zapominano, że para butów składa się z lewego i prawego buta. O tem właśnie i ja zapomniałem. Zła wróżba pomyślałem sobie, tembardziej, że zdobyłem obydwa lewe. Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać, gdyśmy kilka chwil później zgromadzili się na podworcu a ja z trudem poznawałem swoich konfratrów w szeregach młodych rekrutów. „Kto czuje się niezdrowym"? — odezwał się głos dowódcy oddziału. Nie czekałem długo, lecz w tej chwili zachorowawszy, znalazłem się przed wielmożnym panem porucznikiem, a za mną zjawiło się jeszcze kilkunastu, których po drodze zaraziłem. Nadszedł podoficer, „wstecz zwrot", do lekarza! jesteś ocalony, pomyślałem sobie i zacząłem uczyć się na pamięć wszelkich objawów mojej choroby, najwięcej liczyłem na serce, napędzając je do po-

spiechu. Do lekarza nas nie zaprowadzono, ale przez dwa dni musieliśmy ciężko pracować, zaopatrując piwnice koszar w dostateczną ilość węgla. Potem kazano nam wrócić do szeregów. Może się tymczasem wojna skończy? Ale wojna trwała dalej. Z biegiem czasu po dwumiesięcznych ćwiczeniach przy piechocie w Gliwicach i tygodniowym pobycie na piaskach brandenburgskich w Neuhammer, udało mi się ze służby liniowej dostać do służby sanitarnej. Po dwumiesięcznym kursie sanitarnym w Nysie przeniesiono mnie na życzenie moje do szpitala niedaleko wioski rodzinnej. Ponieważ jednak byłem katolikiem i nie należałem do towarzystwa pana komendanta, który kosztem swych poddanych wychylał kieliszki, więc też po pewnym czasie oznajmił mi, że jestem przeznaczony na front. Wyposażony we Wrocław plecak i inne ciężkości, pojechałem. Przez pomyłkę zostawiono mnie w Siedlcach na kursie sanitarnym, potem przydzielono do pomocy okręgowemu lekarzowi w Prużanach na wschód od puszczy białowieskiej. Zajęciem mojem bylo podawanie olejku rycinowego żołnierzom, zgłaszającym się codziennie z wszelkiego rodzaju chorobami. Nadto pomagałem szefowi w biurokratycznem zwalczaniu tyfusu plamistego, grasującego w mieście. Miałem z tego powodu częste stosunki z komendantem miejscowym i nieraz byłem świadkiem jego okrucieństwa względem ludności polskiej którą osobiście policzkował i odrzucał z góry wszelkie prośby. Zato żydzi pracowali nawet w jego biurze i otrzymywali kompetencyę jego przechodzące przywileje i ustępstwa. Rozdzierający był widok, gdy brutalny Prusak żrywał o wiele silniejsze w czasie cierpienia i niedoli związki rodzinne. Wbrew wszelkiemu prawu wywoził młodzież polską na przymusowe roboty do Niemiec. Daremny był płacz matek i szlochanie sióstr, których łzy jeszcze nie wyschły po stracie męża i ojca. Żałobna to była procesya, bolesny, ale bezskuteczny protest przeciwko jednej z największych krzywd narodu polskiego za okupacyi niemieckiej. Opłakany był także los jeńców. Karmieni głodem i nękani ciężkiemi robo-

tami setkami umierali z wycieńczenia. Strasznem było ich położenie w obozach; cierpieli przedewszystkiem wiele z powodu braku żywności i nadmiaru robactwa. Nieraz zdarzało się, że biedaka wieczorem jeszcze na pozór zdrowego znaleziono rano bez duszy w łóżku. Gorzej jeszcze mieli się ich towarzysze ciężko ranni w szpitalach. Tam naturalnie nie miał dostępu żaden chirurg, bo tych wszystkich pochłonęła zupełnie armia pruska. Dostał się więc do szpitala jeńców jaki specyalista na wewnętrzne choroby lub mający jakieś mgliste pojęcie o czemś i o wszystkiem i tak stawał wobec najcięższych a czasem najbardziej skomplikowanych wypadków chirurgicznych. Na tych więc nieszczęśliwcach, których nie uważał za ludzi, przeprowadzał swoje krwawe doświadczenia. Nic też dziwnego, że po takich operacyach znaczną liczbę nieszczęśliwych, których bez użycia narkotyku kładziono pod nóż, śmierć wybawiała od strasznych boleści. Ucierpiała wiele służba boża i duszpasterstwo w czasie okupacyi. Przez pół roku był kościół katolicki z powodu tyfusu plamistego przez władze wojskowe zamknięty. Plebania spodobała się jednemu pułkownikowi pruskiemu, dziekan musiał ustąpić. Przeznaczono mu liche mieszkanie, ale i ztąd musiał niezadługo się wynieść i zamieszkać poza miastem w bardzo nędznej chacie. Żył we wielkiej nędzy, bo mały folwark należący do probostwa został w skutek wojny zupełnie zniszczony, a gotówka poza frontem w banku rosyjskim. Duszpasterstwa nie mógł wykonywać, ukradkiem tylko chrzcił przywożone przez wieśniaków niemowlęta. Gdy epi demia wygasła robił raz po raz podania do komendy miejscowej o otworzenie kościoła dla publiczności, ale napróżno. Wreszcie na Wielkanoc uczyniono zadość jego prośbom. W niedzielę i święta odbywało się nabożeństwo w następującym porządku: o godz. 8-mej suma z kazaniem dla wojska, o godz. 9$^1/_2$ odprawiali w tymsamym kościele pro testanci, swoje nabożeństwo, o godz. 11-tej dopiero była suma dla parafian. Drugi kościół w miasteczku zamienili Niemcy na salę teatralną, gdzie odbywały się przedstawie-

nia wędrownych grup. Później urządzano tam przedstawienia kinomatograficzne. Nieraz byłem świadkiem, jak w czasie gdy w zbezczeszczonej przez potomków krzyżackich świątyni odbywały się bezbożne przedstawienia, przed zamkniętą bramą klęczało kilka kobiecin pobożnych w głębokiej modlitwie pogrążonych jakoby przed grobem matki swojej. — Służbę miałem lekką, mieszkałem osobno, czasu miałem za dnia nieraz wiele. Prawie codziennie odwiedzał mnie mój jedyny przyjaciel Powiem kilka słów o nim. Pewnego razu zauważyłem w kościele żołnierza bardzo pobożnego. Codziennie przystępował do komunii św., co kilka dni spowiadał się i to u dziekana miejscowego. Na zewnątrz robił wrażenie wiejskiego parobka. Wyraz twarzy zupełnie pospolity; niedołęstwo uzupełniał obszerny mundur wytarty i olbrzymie buty, które formalnie wlókł za sobą, zacząłem się nim bardzo interesować, zwłaszcza, że spowiadał się u polskiego księdza, chyba po polsku. Może jaki braciszek zakonny? Pewnego razu przychodzi do mnie po porcyę olejku rycinowego i ku wielkiej mojej radości zagadnął mnie, czym przypadkiem nie jest studentem. Brzmiało to już inaczej, niż zapytanie mojego szefa przy pierwszem spotkaniu, czy przypadkiem nie umiem pisać. Z zadowoleniem przyjął mój pacyent potwierdzającą odpowiedź. Mniemając, że i on przez pewien czas był w gimnazyum w Rybniku na Górnym Śląsku, pewnie biedak zaczął i może pierwszej klasy nie skończył, pomyślałem sobie. Ale przedwstępne kroki do zawarcia znajomości były poczynione. Przy następnem spotkaniu przedstawił mi się jako Dr. phil. N. profesor gimnazyalny z Opola, rodowity Niemiec. Odtąd łączyła nas przyjaźń. N. był dziwakiem pod względem pobożności. Spowiadał się u polskiego księdza po łacinie, chociaż w następnym konkonfesyonale siedział kapelan wojskowy. Za katolikami przepadał i z nimi tylko obcował. Gdy mi którego ze swoich kolegów przedstawiał, mówił: katolik. Do Polski czuł sympatyę tylko dlatego, że jest katolicką.

Po kilku miesiącach mojej działalności sanitarnej przeniesiono mnie do kancelaryi naczelnego lekarza armii przy sztabie generalnym. Z żalem opuszczałem moje dotychczasowe stanowisko z obawy przed niepewną przyszłością, ale z drugiej strony z radością przenosiłem się na nowy posterunek, bo dotychczasowa służba często wchodziła w drogę mojemu powołaniu. Najprzód przez kilka miesięcy odprawiałem nowicyat mojej przyszłej biurokratycznej działalności. Z biegiem czasu posunięto mnie na stopień feldwebla i postawiono na czele kancelaryi i personalu biurowego. A coto za ludzie byli ci moi podwładni? Na pierwszem miejscu należy wymienić szeregowca L., człowieka 35-letniego z zanadto wysokiem czołem. Jestto rodowity Niemiec z Namysłowskiego. Po trzech latach teologii we Wrocławiu przerzucił się na filologię. Po ukończeniu uniwersytetn, nie złożywszy jednak końcowego egzaminu, objął posadę domowego nauczyciela w Mętkowie koło Chrzanowa i tutaj to zastał go głos kaizera, wzywający go pod chorągiew, stał się ofiarą pruskiego militaryzmu, którego z całej duszy nienawidził. Często, kiedy się nieco zamyślił, wpadał nagle we wielkie rozdrażnienie i z coraz większą furyą po kilkanaście razy powtarzał: Przeklęty, prze-klęty pruski militaryzm, ten wrzód obrzydliwy na kuli ziemskiej! Nieraz musiałem go uspakajać, chociaż ta jego piosnka zawsze bardzo miły oddźwięk w mojem usposobieniu znajdowała. Zresztą był to człowiek poczciwy i nawet pobożny; często towarzyszył mi do kościoła i przystępował do sakramentu św. Skoro zaś tylko wczesnym rankiem musiał przeznaczone swojej pieczy biuro zamiatać i opalać, wtedy z wielkim zapałem okazywał swoją wdzięczność względem militaryzmu pruskiego. Do Polaków czuł sympatyę i jestem przekonany, że wrazie plebiscytu odda im swój głos. Drugim był cand. iur. z Bydgoszczy, bardzo hakatystycznie nastrojony, więc też tylko zaciskał zęby, gdy mu się w piecu nie chciało palić, bo dla „vaterlandu“ trzeba było przynajmniej tę ofiarę ponieść, inaczej bowiem wypadłoby na froncie *pro patria mori*, czego

widocznie nasz bohater nie uważał za *dulce et decorum*. Dziś po rewindykacyi ziem polskich życzę mu szybszego awansu we wojsku polskiem; trzeci to medyk z Wrocławia, jakiś „brat chórowy“, o czem świadczyły liczne blizny na jego głowie po szczęśliwie odbytych pojedynkach. Jeżeli ja się dołączę jako stud. theol., to były u nas wszystkie cztery fakultety reprezentowane. Największe szczęście miał medyk, bo na podstawie specyalnego przywileju mógł brać udział w kursach naukowych i w studyach naprzód się posuwać. Nadto było jeszcze kilku podoficerów przy poszczególnych sekcyach i kilkunastu pomocników przeważnie ze stanu kupieckiego. Z pomiędzy oficerów było trzech naczelników sekcyi, z których każdy miał jeszcze dwóch oficerów do pomocy. Wśród takiej liczby różnego rodzaju kapryśników, dalej pomiędzy dwiema maszynami do pisania, będącemi ustawicznie w ruchu, przy aparacie telefonicznym, który co chwila przerywał mi pracę, przepędziłem blisko trzy lata. Niedziele i święta nie różniłyby się niczem od zwykłego dnia, gdybym się nie był wymknął na godzinę do kościoła na mszę św. Nieraz z tego powodu powstało w biurze wielkie zamieszanie, sypały się na moją głowę przekleństwa, gdy jednak wróciłem, nie czyniono mi żadnych wyrzutów. Moje zajęcie było następujące: otwierać nadchodzące listy (liczba ich dochodziła do 150 dziennie), stemplować, zapisywać do dziennika, porządkować według poszczególnych sekcyi i rozdzielać odpowiednim osobnikom do opracowania, przy każdej sprawie według potrzeby zaznaczyć krótko jej przebieg i znak aktów, gdzie się znajdowało rozporządzenie ją dotyczące a to wszystko dla oryentacyi szefa. Dalszym moim obowiązkiem było mniej ważne sprawy opracować i przygotować do podpisu, zanotować sprawy wychodzące i dopilnować, by natychmiast załatwiono ich ekspedycyę; rozdzielać i dozorować pracę całego personalu biurowego, starać się o materyał potrzebny. Wśród tej pracy miałem liczne przeszkody. Co kilka minut dzwonił telefon. Zrazu przerażał mnie dzwonek aparatu, lecz z czasem zobo-

jętniałem i machinalnie chwytałem za słuchawkę. Z rana meldowano ze wszystkich szpitali liczby statystyczne, zawierające ilość chorych na poszczególnych oddziałach według rodzaju ich cierpienia i ilość wolnych łóżek, nadto donoszono z 15 punktów zbiorowych codzienny dopływ rannych. W ciągu dnia dziesiątki innych zapytań, dotyczących zrozumienia lub wyjaśnienia wydanych rozporządzeń, bądź też w sprawie podań, czy już nadeszły, jak daleko posunięte, czy odesłane, w sprawie urlopów itd. To znów proszony o urlop wskutek śmiertelnych wypadków w rodzinie. Najczęściej sam go udzielałem bez długich ceremonii.

Wiele miałem nadto sam rozmów telefonicznych, bądźto komunikując podwładnym formacyom naglące rozkazy, bądź też dla uzupełnienia różnych braków w nadchodzących sprawozdaniach czy podaniach. Pewnego razu musiałem w ciągu pół godziny rozpowiedzieć na wszystkie strony następujący rozkaz: Naczelne dowództwo nakazuje wszystkim zakładom sanitarnym natychmiast usunąć wszelkie znaki neutralności, bo lotnicy nieprzyjacielscy łamią umowę genewską. Wykonanie rozkazu meldować telefoncznie w ciągu godziny. Z niewielkim spóźnieniem doniesiono zewsząd, że stało się zadość żądaniu. W tejsamej zaś chwili nadchodzi telegram o wręcz przeciwnej treści. Powtarza się ta sama historya. Dalszym moim obowiązkiem było znać geografię obszaru podległego administracyi sanitarnej, znać poszczególne miejscowości i ich instytucye sanitarne, znać po nazwisku lekarzy podwładnych i ich zajęcia, nazwy i liczbę pociągów sanitarnych i miejsca ich pobytu. Na to wszystko trzeba było mieć ustawicznie gotową odpowiedź, czyto przy telefonie, czy też w biurze, bo podobnemi pytaniami byłem ustawicznie zasypywany. Czasem zdarzyła się rozmowa ze sztabem generalnym lub kwaterą główną. Oto sposób, którego się nieraz chwytałem względem tych butnych panów, zwłaszcza z głównej kwatery, którzyto uważali sobie za ujmę, by z podoficerem rozmawiać a u których człowiek zaczynał się dopiero od porucznika. Gdy spostrzegłem, że

pan kapitan nie będzie względem mnie grzecznym lub zajeżdża na kwestye, przewyższające poziom mojego biurokratycznego wykształcenia, wtedy nagle przerywając rozmowę, zacząłem dwonić i krzyczeć: Nie rozłączaj nas bałwanie, bośmy jeszcze nie skoóczyli — proszę pana kapitana, jest tak marne połączenie, że nie mogę absolutnie nic zrozumieć. Znowu nas szelma roz..... Nie dokończywszy odkładałem słuchawkę. Gdy zjawił się dnia następnego, kazałem go w tej chwili połączyć z szefem.

Służba trwała od 8 do 1 godz. przedpołudniem i od 4 do 8 popołudniu. Często trzeba było jeszcze poza temi godzinami pracować, a we Francyi, zwłaszcza w czasie ofensywy często do późnej nocy. Mieliśmy wtedy w szpitalach do 25,000 rannych. Prócz budynków szpitalnych zapełnione były wszystkie kościoły i wiele domów prywatnych.

Do Francyi przeniesiono nas w grudniu 1917 r. Najpierw byliśmy w Maubeuge aż do Wielkanocy, potem w Bernoville koło St. Quentin, aż do sierpnia 1918 r. — od tego czasu rozpoczął się powoli odwrót. Bawiliśmy przez pewien czas w Sains-du-Nord koło Avesnes, potem w Ham sur Heure w Belgii koło Charleroi. W miarę, gdyśmy wkraczali do Belgii, mając za sobą Paryż, coraz większa otucha wstępowała w nas, że wojna przecież się raz skończy. Wiadomość o zawieszeniu broni zastała nas u Andennes. Piękne miasteczko, noszące na domach ślady inwazyi niemieckiej z 1914 r. i walki ulicznej z mieszkańcami. Po tej walce podobno 300 obywateli Niemcy śmiercią ukarali. Toteż w dniu rozejmu objawy radości były ogromne, wprost prowokujące. Wzywano do odwetu za 1914 r. — tu i ówdzie padły już strzały, dzięki tylko energii burmistrza zdołano zachować spokój. W tymsamym dniu zapanował powszechnie we wojsku nastrój rewolucyjny. Krzyczano razem z ludnością belgijską: Niech żyje Belgia! Niech żyje Francya! żołnierze przeważnie pijani, bo rabowano magazyny wojskowe i pociągi aprowizacyjne, składy obuwia i umundurowania. Militaryzm pruski wreszcie został złamany.

Wczoraj jeszcze oficer skrzyczał szeregowca za to, że nie dosyć sprężyście go salutował. Dziś przechodzi żołnierz obok generała z fajką w ustach, rękami w kieszeniach i uśmiecha się do niego szyderczo. Wszechwładny jeszcze przed kilku godzinami pan zaciska zęby, ale nic nie mówi. Pod koniec listopada przybyliśmy do Malmedy na granicy niemieckiej. Potem we Frankenburgu w Hesyi zanosiło się na dłuższy pobyt, więc na moją prośbę o uwolnienie zupełne, przeniesiono mnie do Wrocławia. Nagle jednak wyszło rozporządzenie, że sanitaryusze muszą dalej służyć. Równocześnie zachorowałem i dostałem się do szpitala, gdzie leżałem od 17. grudnia 1918 r. do 15. lutego 1919 r. Wypadało teraz znów zgłosić się przy swoim oddziale do dalszej służby. Poprosiłem jednak o 2 tygodnie urlopu dla wypoczynku i postanowiłem już nie wracać. Z domu posłałem zażalenie do komendy generalnej z powodu nieuwzględnienia dotychczasowego moich podań o uwolnienie zupełne. Dodałem, że wobec tego sam się zwalniam i w najbliższym czasie jadę do Krakowa dla podjęcia dalszych studyów. Domagałem się natychmiastowego wypłacenia zaległego żołdu i gotówki, jaką otrzymywał każdy żołnierz przy demobilizacyi. Pod koniec lutego przybyłem na Stradom. Wzywano mnie jeszsze kilka razy do Wrocławia, wreszcie po roku w lutym 1920 r. przysłano mi papiery i należytość tak, że właściwie dopiero od miesiąca nie należę do armii pruskiej.

Jan Sinka.

Notatki z czasu wojny od sierpnia 1914 do sierpnia 1915 r.

Rozdół w sierpniu 1915.

Dnia 14. sierpnia 1914 r. przybył do Rozdołu cały korpus wojska austryackiego i rozłożył się na kwaterę w całem miasteczku nie omijając pałacu Lanckorońskiego. U nas umieszczono też około 40 żołnierzy i koni i to w nowo zbudowanym domu dla nieuleczalnie chorych. Żołnierze zachowywali się przyzwoicie. Wedle możności dawałyśmy im pożywienie, za co byli wdzięczni. Gdy ci po tygodniu odeszli,

przyszła znowu podobna liczba z Karyntyi, kiórych jak pierwszych przyjmowałyśmy. Z końcem sierpnia doszły nas wiadomości, że Lwów w oblężeniu, huk armat od strony Bóbrki coraz głośniej słychać, ludność przerażona wybrała się z pakunkami, między niemi staruszek ksiądz, dwie Siostry Służebniczki z Brzozdowiec i dwie Siostry Miłosierdzia z Choderkowiec. Dnia 1 września b. r. zaczęto tu głosić ogrom niebezpieczeństwa, przed zbliżającym się wojskiem nieprzyjacielskim, wszystka inteligiencya zebrała się do wyjazdu również i Księża Karmelici, nas także inteligencya ogromnie przynaglała do wyjazdu, jednak po kilku dniach wszyscy wrócili na swoje stanowiska. Około 5 września przywieźli tu przeszło 300 rannych żołnierzy rosyjskich, umieszczono ich wszystkich w nowym domu. Siotra Felicya z pomocą innych Sióstr zajęła się nimi gorliwie, a ułatwiło jej tę posługę to że zna język rosyjski. Teraz zaś zostałyśmy bez pomocy duchownej, bo wszycy trzej O. Karmelici wyjechali i nie wrócili, aż z wiosną 1915 r. wrócił tylko O. Przeor. Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcybiskup przysłał jako administratora ze Stryja Ks. Wiktora Potrzebskiego. Ten zacny kapłan zajął się gorliwie parafią, ale po kilkunastu dniach rząd rosyjski zakazał pełnienia wszelkich obowiązków w kościele parafialnym, więc przeniósł się do naszej kaplicy i tu przeniosła się jakby cała parafia. W uroczystość Bożego Narodzenia w naszej też kaplicy odbyła się przy śpiewie sierót „Pasterka“ wśród ogólnego rozczulenia obecnych, nie wyłączając kapłana. W drugiej połowie października 1914 r. przybył lekarz ze Lwowa, aby u nas w naszym domu dla nieuleczalnych urządzić szpital dla cholerycznych w porozumieniu z Siostrami i naszym p. dr. Rauskim. Zarząd wojskowy urządził na prędce wszystko, zamieszkał tu też ich lekarz, saniteci i t. p., wszyscy na wspólnej naszej kuchni, trwało to dobry miesiąc, jednak objawy cholery zmniejszyły się, było tylko kilku chorych i ci wyzdrowieli. Zamknięto szpital z początkiem grudnia. Teraz nastąpił pozorny spokój, tylko strzały ciągle słychać i ustawiczny przemarsz i odwrót

wojsk rosyjskich, urozmaicony to ich na wpół dzikim śpiewem, to znowu obawą i ogólnem przygnębieniem mieszczan, ale cieszą nas i nadzieją, że może nasze wojsko wnet przyjdzie i tak było aż do maja. Rządy rosyjskie strasznie dały się odczuć ludziom w tym czasie. Dnia 14 maja 1915 roku przyszło do naszego domu nowo zbudowanego około 400 żołnierzy rosyjskich, tak zwany etap, na kwaterę i przebyli tu prawie miesiąc. Zachowywali się dość grzecznie, modlitwy na głos trąbki odśpiewywali, potem hymn za cara, poczem mieli rodzaj rekreacyi, a czasem przyglądali się zabawom dzieci domowych. Między nimi często dało się spotkać i bardzo uczciwych żołnierzy Polaków. Ci często odwiedzali nasz kościółek, gorąco i ze łzami modląc się. Odchodząc zostawili dom bardzo zniszczony, studnię popsuli tak że naprawa i czyszczenie domu przeszło 200 koron kosztowała. W tym czasie zabrali kilkunastu mieszczan jako zakładników i uwięzili ich w naszym domu w suterynach. W Rozdole i w pobliskich wioskach i na naszem polu Bubnie kopią szańce, tak że byliśmy wszyscy w wielkim niebezpieczeństwie, bo Rosyanie mieli na wzgórzach otaczających Rozdół ustawiać armaty, w Rozdole miała być wielka bitwa. Na Boże Ciało i w niedzielę zabierali przymusowo nahajką wszystkich do roboty, tak że nie było ludzi w kościele. W tym czasie pojawiła się pierwszy raz pruska patrol w Derżowie, zabawiła 2 dni i znów cofnęła się. Dnia 14. i 15. czerwca, całą noc jedną i drugą, bili się na całej linii nad Dniestrem na karabiny i bagnety. Wsie okoliczne w płomieniach, huk armat coraz silniejszy. Mówią, że w nocy bardzo się bili, otoczywszy naszych wzięli podobno tysiąc do niewoli. Ludzie rozdolscy noszą chleb jeńcom. Pewien żołnierz dał żydówce 10 kor., już mu reszty nie wróciła, lecz uciekła; biedny żołnierz płakał że nie ma ani centa, dopiero poskładali się ludzie; inni zaś wołali głośno o pomstę Bożą; sam oficer rosyjski powiedział, że jeśli się coś podobnego powtórzy będzie taki człowiek rozstrzelany. O godz. 3. popołudniu znowu bitwa, straszny huk, świst w powietrzu, czasami zdaje

się, że dom się nie ostoi. W Derżowie się pali, to plebania i stajnie p. Jabłońskiej. Około godz. 8. wieczorem przywieziono do nas rannego X. Witkowskiego z Derżowa. Kula trafiła go w twarz, przeszła przez drzwi od piwnicy gdzie byli ukryci wraz z p Jabłońską. Przy wielkich cierpieniach wyjął dr. Rawski kulę za uchem, dzięki Bogu przyszedł u nas do siebie i będzie zdrów. Dnia 15. czerwca na rynku było dużo żołnierzy austryackich, którzy dostali się do niewoli; stoją gotowi do pochodu otoczeni wojskiem etapowem rosyjskiem.

Przywieziono do nas 12 rannych, 9 rosyan i 3 austryackich żołnierzy. Za kilka dni umarło 2 Austryaków, którym sprawiłyśmy piękny pogrzeb, jeden z nich opowiadał, że znów naszych odparli od Dniestru. Dnia 16. czerwca przywieziono mężczyznę z Krupska (rusin, moskalofil), który znalazłszy szrapnel, tak długo nim kręcił, aż wybuchnął; rozsadziło mu chatę, roztrzaskało głowę i oderwało rękę i nogę, był przytomny, ale spowiadać się nie chciał, w nocy umarł. Dnia 18. czerwca wielkie niebezpieczestwo, radzą wszyscy znosić się na dół ze spaniem, więc udałyśmy się na dolne korytarze i do izb wraz z Siostrami. Nabardziej straszne noce były 20. i 21. czerwca wieczorem, straszny huk armat, okna się trzęsą, z pobliskiej wsi Czernicy biją na nasze pola, ponad Rozdołem leciały kule, ale Pan Bóg opiekował się nami nadzwyczajnie, pomimo że na wieży zrobili sobie stacyę obserwacyjną, dopiero Ksiądz z jedną Siostrą poszli prosić generała rosyjskiego, by zarządził w innem miejscu obserwacyę, gdyż grozi to zburzeniem kościoła i klasztoru z chorymi i dziećmi; wysłuchał łaskawie prośby i zeszli wszyscy z wieży. Rosyanie teraz siedzieli w okopach na Brzezinie tuż za Rozdołem; a Austryacy na żydaczowskiej górze, cały dzień do siebie strzelali. Widać było z okien płomienie i wiele dymu. W ogrodzie za kościołem pękł szrapnel, ale dzięki Najśw. Pannie nie uczynił szkody. Przezacny X. Potrzebski, który tak ciągle w swych codziennych, wzruszających naukach zachęcał ludzi do ufno-

ści i urządzał procesye błagalne, wybłagał u Pana Boga widoczny cud, że Rozdół istnieje prawie nieuszkodzony. Dnia 23. czerwca noc okropna, ruch, gwar, hałasy, strzały i płacz daje się słyszeć naokoło, nie do opisania. Rosyanie cofają się, zabierają ze sobą wszystko, co się da. Ludzie płaczą za swemi krowami, całują żołnierzy po rękach, prosząc, by im nie zabierali dobytku, ale wzamian za to odbierają razy nahajką. Nam także zabrali za bezcen 2 krowy. Naszemu dzierżawcy w Kijowcu zabrali co tylko miał, zniszczyli park, w sadzie wykorczowali drzewa owocowe, a po polach i łąkach porobili sobie okopy i szańce. Zacny dzierżawca Kijowca p. Biederman wraz żoną kryli się w piwnicy przez trzy tygodnie. Jego też poświęceniu zawdzięczamy ocalenie zabudowań folwarcznych od spalenia. W nocy z 23. na 24. czerwca Rosyanie wysadzili most na Dniestrze; zdawało się, że wszystko się już wali tej nocy, trudno było spać. Już popołudniu, dnia 23. nie było ani jednego rosyjskiego żołnierza na mieście, wszyscy cofnęli się w kierunku Brzozdowiec i Stulska. Rano dnia 24, o godzinie 5, ukazała się pierwsza austr. patrol na rynku. Co za radość! Kobiety biegły do kościoła dziękować Najśw. Pannie, ludzie powychodzili na miasto jak nigdy, rozdając żołnierzom chleb, kawę, mleko. Był wśród nich jeden kapitan, który opowiadał, że przez jedenaście miesięcy był ciągle w walkach; że w Karpatach patrząc na tę straszliwą rzeź prosił Boga, aby został rannym lub chorym. Z woli Bożej jednak przetrwał, a ostatnie trzy miesiące bez przestanku codziennie był w boju. Gdyśmy go prosiły, żeby usiadł na wygodniejszem miejscu, kiwnął ręką, mówiąc: „Już zapomniałem, jak to przebywać w mieszkaniu, gdyż mieszkanie moje, szczególnie w Karpatach, było wspólnie z bydłem i nierogacizną“.

Tarnów.

W drugiej połowie października 1914 roku, po niepomyślnych bitwach w Królestwie, coraz częściej zaczęły nas dochodzić niepokojące wieści, że lada dzień wkroczą Ro-

syanie do Tarnowa. W mieście całem wre; ewakuacya, gorączkowy wyjazd urzędów i mieszkańców, ładowanie pakunków, tobołków, rzeczy — na wozy, fiakry, a nawet w braku takowych, na swoje plecy. Jedni wyjeżdżają, inni przeprowadzają się w środek miasta dla bezpieczeństwa; — liczne automobile pędzą szybkością strzały w tę to w ową stronę, a co na dworcu kolejowym? trudno sobie wyobrazić: tłumy, zamęt, krzyk, siłą pięści zdobywa się miejsce na platformie lub w wagonie; strach przerażenie, lament, rozpacz, pożegnanie.

W popłochu i ucieczce, zapomniano o osiemdziesięciu ciężko chorych: rannych i zakaźnych, pozostawionych bez żadnej opieki i dozoru. Ludzie przechodni dowiedziawszy się o tem, uwiadomili nas o stanie tych nieszczęśliwych prosząc o jakąkolwiek pomoc, gdyż panie od Czerwonego Krzyża wyjechały i tak niema kto się zająć tymi żołnierzami. Natychmiast Siostra Nasza z Towarzyszkami spieszą do baraków i innych szpitali i coraz to znajdują to tu, to tam chorego na łóżku, lub na podłodze przykrytego szynelem, dokoła zwykle trudny doń dostęp; starając się zatamować oddech, układają na nosze biedaków z pomocą kilku dziewcząt i znoszą chorych chirurgicznych do naszego szpitala, a zakaźnych do kilku sal w jednym z baraków. Pierwszy dzień tak przeszedł, a musimy dodać, żeśmy w tej czynności doznawały wielkiego zadowolenia wewnętrznego, widząc się w możności ulżenia ciężko chorym, potrzebującym pomocy, konającym; mimowoli stawał przed oczyma św. Wincenty, Ojciec Nasz, jakoby patrzył z zadowoleniem na swe córki, spełniające z ochotą przykazanie miłości.

Wieczór zastał już wszystkich ułożonych na czystych posłaniach, obsłużonych i sytych, kapłan spieszył z pomocą duchowną, siostry opatrywały rannych, inne krzątały się za światłem, wodą, lekarstwami i t. d. Po dwóch dniach pracy w baraku zjawia się lekarz z pięcioma proszkami opium, a widząc siostry zapytuje je wyniośle, kto im zalecił zajmować się tu pielegnacyą chorych? Biedny lekarz po dwu-

dniowym pobycie w piwnicy, wyszedł na miasto, a nie widząc Rosyan, zjawił się w baraku, by spełnić obowiązek nadany mu przez władze. Siostry nasze wróciły zaraz do szpitala do poprzednich zatrudnień. Kilka dni lepszych wieści z pola walki pokrzepiły nas na duchu, sytuacya się poprawiła, lecz nie na długo. Dzień 10. listopada znów był tem samem widowiskiem dla całego miasta, jak poprzednim razem.

Panika, przerażenie, ponowne wyjazdy. Od świtu rozlega się huk min rozrywanych, wysadzanie mostów w powietrze, z dala migocą oddziały wojsk austryackich, konnica opuszczająca nasze okolice. Za dwie godziny będą Moskale, wołają tu i owdzie, strach jakiś wstrząsa człowiekiem. Przed szpital zajeżdzają wozy, to Nasza Siostra przywiozła chorych porzuconych znów po kątach, jak poprzednim razem. Między innymi przywieziono Botkina, syna carskiego lekarza wstanie beznadziejnym na ciężką dyzenteryę, znalazła go Siostra Nasza w koszarach wołającego o pomoc, a słysząc jęki w pustym gmachu idąc poprzez porzucone w nieładzie sprzęty, ubrania i naczynia znajduje też oficera austryackiego cierpiącego na ciężki tyfus, losem tych opuszczonych zajęły się Siostry natychmiast, zabierając ich do szpitala. Wieczór pełen zgrozy, niebo gore od łuny jaskrawej, to magazyny idą z dymem, mąka, benzyna i t. d. Noc przeszła spokojnie, choć w obawie, rankiem pierwsza patrol z 50 kozaków zajechała przed szpital, zapytując o Botkina; dowódca kozacki, poseł do dumy państwowej, Karaułow, poszedł z Siostrą Przełożoną na zakażny oddział go odwiedzić, a ku naszemu zdziwieniu przemówił do nas po polsku.

Cały miesiąc przeszedł na samodzielnej pracy koło rannych, dopiero w pierwszych dniach grudnia objął nasz szpital rosyjski Czerwony Krzyż. Personal składał się z doktorki, medyka-azyaty i 5 pielęgnarek-panien z inteligencyi; zajęli pawilon chirurgiczny pracując wspólnie ze ś. p. dyrektorem Rogalskim i naszemi Siostrami. Rosyanie spieszyli z dostarczeniem żywności i zaspokojenia wszelkich braków,

z niepojętą uprzejmością i troskliwością; mimo to nieustanne wyczekiwanie z upragnieniem jakiejś pomyślnej wieści i lepszego jutra ogarniało nas wszystkich, a najmniejsza wiadomość z naszych domów bliższych i dalszych napawała nas nieopisaną radością, tem bardziej nadzieje skomunikowania się z Najczcigodnieszymi Przełożonymi, od których byłyśmy odcięte. Dzień wyzwolenia przyszedł dopiero z wiosną, jakkolwiek wśród najstraszniejszych wrażeń i chwil podobnych do dnia sądu ostatecznego. Rozpoczęły się silniejsze szturmy i bitwy nad Dunajcem, pociski ciężkich dział padały już od stycznia na miasto, lecz nie odczuwałyśmy większych wstrząśnień, aż w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny, kiedy to każda z nas była tego dnia ściślej złączona z Bogiem myślą i sercem. Najniespodziewaniej koło piątej godziny wieczorem, w chwili, gdy niektóre Siostry były w urzędzie, inne w kaplicy się modliły, o kilkadziesiąt kroków od szpitala padł pocisk z haubicy w szkołę, druzgocąc część przednią gmachu, porywając najcięższe kolumny i bryły cegieł wyrywając je i unosząc swym pędem piekielnym na różne strony; a w pobliskich domach siejąc zniszczenie, ruinę, zamęt, strach śmiertelny, jakoby ostatnia chwila życia nastała dla każdego, i ta moc pcha i zgina kolana ku ziemi! Wstrząśnienie domu, ludzi i sprzętów, sypią się szyby, łamią ramy drzwi i okien, odpadki granatu trafiły w mury naszego dormitarza i łazienki, wielki odłam wpadł do sal operacyjnych, a także do szwalni, sal chorych, do maglowni i prawdziwie tylko dowód Opatrzności, że nikt nie został nawet skaleczony najmniejszym odłamkiem.

W tym czasie silnego wstrząśnienia doznał jenerał rosyjski Popow, chory na raka wątroby, leżał u nas w szpitalu, a był to człowiek wielkiej dobroci, spokoju i cierpliwości; w okropnych bólach powtarzał nam często, gdyśmy mu chciały ulżyć, że „Chrystus też cierpiał i więcej jeszcze, aniżeli wszyscy ludzie na świecie! Nie trzeba mi żadnej pomocy, bo Pan Bóg może tylko skrócić moje cierpienia, może u was dużo roboty koło drugich, niech wam nie za-

bieram sobą czasu". Jak się później dowiedziałyśmy po jego prędkiej śmierci, był to zacny człowiek, jakkolwiek prawosławny. Całem życiem starał się naśladować Chrystusa Pana, czyniąc dobrze nieprzyjaciołom swoim. Otrzymał od Ojca Świętego Leona XIII. krzyż za wstawiennictwo u cara o nieskonfiskowanie katolickiego klasztoru; krzyż ten przez całe swe życie miał nad łóżkiem, spoglądając nań z wielką miłością. Pierwszego maja dzień najstraszniejszych wrażeń! Po kilku wstrząsających pociskach, które padły tuż koło naszego szpitala, sprawiając wielkie spustoszenie i przestrach nie do opisania! Pęd powietrza powyrzucał niektórych chorych z łóżka i pod łóżko, inni pouciekali z przerażenia ze złamanemi nogami na podwórze, dokoła jęki, płacz rozpacz! Trzeba było szukać jakiegoś schronienia! nie było innej rady; skryć się do piwnic. Dziewięćdziesięciu ciężko chorych, z których kilku zakończyło tam żywot, a reszta wśród ziemniaków, jarzyn i beczek z kapustą, ze służbą i Siostrami radzi byli, że nie słyszą gwizdu kul i są nieco bardziej zabezpieczeni. Otuchy dodawała nam Opieka Najświętszej Panny; jaką nam sama zapewniła w Swem Cudownem Objawieniu, mówiąc: „nie bójcie się, Ja będę zawsze z wami". Niemogąc odprawić majowego nabożeństwa w kaplicy ksiądz przyszedł do piwnic, aby pokrzepić chorych i nas wszystkich, by dodać nam odwagi! Z wdzięcznością i zupełnem zdaniem się na wolę Bożą klękliśmy wszyscy powtarzając za kapłanem litanię do Najśw. Panny, potem Serdeczna Matko rozlegało się z głębi serc naszych biedaków. Tak się zakończyła inwazya; Rosyanie ustąpili, przyszły wojska austryackie, witane radośnie i owacyjnie! Tyle dowodów Opatrzności Bożej i opieki Najświętszej Panny nad całem naszem Zgromadzeniem w tych strasznych czasach, i nietylko w całej prowincyi, w domach poszczególnych doznałyśmy nadmiaru łaski Bożej, ale można powiedzieć, że każda z osobna winna składać hołd Najwyższemu za ocalenie nas wśród tylu niebezpieczeństw jakie za sobą pociąga wojna.

Załoźce.

Już na parę dni przed wypowiedzeniem wojny, biedni, którzy nie mieli gdzie, i za co wyjeżdzać, zgromadzili się u nas na korytarzach, szukając schronienia przed wrogiem. I nie dlugo na niego czekali, bo już 9. sierpnia 1914 roku, przedpołudniem spostrzegłyśmy uciekających wieśniaków z pobliskich wiosek na granicy, z płaczem i krzykiem, że im Moskale palą sioła, a oni ledwie z życiem uciekają. W całem mieście straszna panika; gdzie kto mógł, to się chował, a ludzie, którzy w ten czas wychodzili z kościoła parafialnego ze sumy, bez namysłu wraz z księżmi, uciekali do lasów, by tam szukać schronienia. Pokopali sobie doły, pochowali się, ale ponieważ nie mieli z sobą żywności, zaczęli głowy wystawiać ze swoich kryjówek, czy ich kto czem nie poczęstuje. Siedząc tam, nie wiedzieli nawet, co się dzieje w Założcach. A tymczasem Moskale, których sobie każdy strasznie wyobrażał, już się zbliżyli do nas i napadli z tej strony granicy od naszego domu. Pierwsze ich patrole, pomimo czerwonego krzyża, który widniał z daleka, poczęli do nas strzelać, a gdy się cała chmara wojska zbliżyła obstąpili nas dookoła, i blisko pół godziny strzelali z karabinów, jak się potem tłomaczyli, myśleli, że to jaka warownia. A biedni będący u nas, dzieci i my schroniłyśmy się w kaplicy, czekając, co Bóg da; jeżeli śmierć, aby ona nastąpiła choć u stóp P. Jezusa. Nasz sybirak X. kapelan z tej despecracyi, zamiast być z nami udał się na strych i tam za kominem klęczał ze złożonemi rękami, a kule grały po dachu, dostając się co chwilę do wnętrza. Po długiem poszukiwaniu udało się go nareszcie sprowadzić na dół. W kaplicy strach był ogromny, jedni śpiewali „Przed oczy Twoje“ drudzy krzyżem leżeli i płakali, inni różaniec mówili. Była to istna wieża Babel: trwoga nie do opisania, a każdy na śmierć się gotował. Nareszcie sprzykrzyła się Moskalom ta strzelanina i przedostawszy się przez mur, przyszli rewidować nasz dom, szukając niby to Austryaków, których nie tylko u nas, ale

i w mieście dawno nie było; bo rzeczywiście wojsko austr. tu nie stało, były tylko większe patrole, które wroga nie czekały, ale się cofnęły na oznaczone miejsce. Nie znalazłszy nic dla siebie niebezpiecznego, wpakowali się do nas wszystkiemi drzwiami; wszędzie ich pełno, w całym domu ich czuć, a najwięcej w kuchni, gdzie się starali każdy garnek wypróżnić. Gdy zjedli co było, pytali, czy to nie zatrute, ale zapóźno się im ta ostrożność przypomniała, bo już nic nie było. Następnie ustawili armaty i karabiny maszynowe przed naszym domem i strzelali na drugą połowę miasta przez 2 godziny, a widząc, że im nikt nie odpowiada przestali i poszli szukać rannych. Przysłano zaraz po Siostry, aby się udały z nimi. Poszły szukać naszych biedaków na pobojowisku i przyniesiono ośmiu: jednego już dogorywającego, rozszarpanego od szrapnęli, a jednego nieboszczyka. Wstyd było Moskali, że na takie strzelanie tylko dziewięciu rannych, więc się tłomaczyli, że dużo zabitych. Lecz i tych było tylko dwóch. Ponieważ nasi cywilni doktorzy pouciekali i żadnego w mieście nie było, więc dali swojego doktora do nas, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że z wielkiem poświęceniem był dla rannych. My chodziłyśmy koło nich, prawie ze łzami w oczach, i robiłyśmy cośmy mogły dla tych pierwszych ofiar wojny. Każdy Moskal miał sobie za obowiązek oglądnąć nasz dom i Monaszki, jak nas nazywali. Nie należało to wcale do przyjemności, ja, przynajmniej na ten widok dreszczy dostawałam; obawiałem się, żeby to długo nie potrwało. Ale za dwa dni była bitwa na naszych polach koło Trościańca, w której zostali pobici. Ach, wspaniały to był widok, jak uciekali, za granicę uwożąc swoich rannych, ile mogli, jeżeli pod którym koń padl, chwytał się innego bodaj za ogon, aby co rychlej być u siebie, a że pogoda była parę dni i ziemia sucha, więc też za niemi była kurzawa jakby się świat cały palił. W ten czas właśnie, jak się cofali, wpadli do naszego folwarku „Krutków Gaj". Kazali gospodarzowi bydło wypuścić i zapalili z czterech stron. Jak się później przyznali, tym pożarem dali znać

dalszym wojskom o swoim cofaniu. W dwa dni potem, gdy Siostry jechały na Trościaniec, jeszcze widziały rannych leżących, inni sobie jak mogli szukali schronienia, w naszym zaś folwarku znalazłyśmy kilku. Jeden z nich opowiadał swoje przygody, że gdy był postrzelony a widział zbliżających się Kozaków, bojąc się, aby go nie zabrali, udał nieżywego, lecz ci mimo to zaczęli go kłuć dzidami swojemi, szczęście, że był twarzą do ziemi zwrócony, bo nie widzieli jak się z bólu strasznie wykrzywiał. Zrobili mu na plecach 15 ran dzidą i odeszli zadowoleni, że się jak mniemali na trupie zemścili. Tymczasem, jak ci się oddalili ten jak mógł przyczołgał się z pola bitwy na raczkach, kilka kilometrów do naszego folwarku i tu błagał zmiłowania. Zabrały go więc Siostry do szpitala naszego; innym zaś dały wina i chleba po drodze. Wszystko się do nich garnęło, ale już dawać nie było co. Ranny zaś, którego przywiozły, bardzo cierpiał; były chwile, że wołał, aby go dobito, ale gdy się rany zaczęły goić, ściskał pięści i wołał że chce iść na Moskala. A gdy go później brali Moskale jako jeńca, to się odgrażał, że im co na drodze zrobi, tak nie mógł swej krzywdy zapomnieć. A ileż to takich było! Po tej bitwie austr. wojsko poszło zaraz pod Tarnopol, więc też Moskaliszki za dwa dni wrócili, tylko z większą siłą, i na nasze nieszczęście zostali aż 13 miesięcy, mieli tędy jedno przejście, dlatego we dnie w nocy tysiącami szli, a każda nowa banda miała przyjemność palenia, dlatego ciągle były pożary. Wracając zbierali po drodze swoich poległych, i przywieźli do nas 14 oficerów kozackich, z którymi w szczególny obchodzili się sposób. I tak: najprzód po ich rozebraniu, myli ich, a nawet szorowali z jednej strony i poukładali na podwórzu do słońca; gdy wyschli, taksamo czyniono z drugą stroną i znów suszyli, następnie ubierali w nowe ubrania, kładąc do trumny obsypywali kwiatami świeżymi i zrabowanymi z kościołów. Teraz zaproszono trzech popów, ci z wielką powagą porozpuszczali swoje warkocze i zaczęli wraz z diakami śpiewy i ceremonie nie wiele się różniące od greckich, a w końcu najstarszy pop dał

każdemu przepaskę z papieru przez czoło, na której była data śmierci, imię, nazwisko, i jak mówili prawo pójścia do nieba. Na dany znak tego popa zamknieto każdą trumnę i wszystkie razem włożono do ogromnej paki i z paradą wojskową udali się na cmentarz. W parę tygodni po pogrzebie przyjechały coś trzy żony po swoich nieboszczyków, aby ich zabrać do Rosyi i chociaż się już ciala rozkładały, jednak się im to udało. Innych żołnierzy chowano zwyczajnie.

Następna bitwa była 21. sierpnia pod Jarosławicami. Tego właśnie dnia było zaćmienie słońca, a więc zla wróżba dla Moskali. Mają oni dużo różnych przesądów, w które święcie wierzą; tak na przyklad mówią, że jak ustawiali armaty do japońskiej wojny, to grzmiało, dlatego przegrali; a jak się wkradali do Galicyi koło Załoziec, to też grzmiało, a nawet piorun uderzył, że i tu pewnie przegrają. Daj Boże, ażeby się to tym razem spełniło. Z pod Jarosławic przywieziono nam dość dużo rannych, naszych i Moskali, prawie samą starszyznę; ci byli u nas aż do 31. sierpnia. Tego dnia bowiem, gdy wicher był silny, podpalono domy w kilku ulicach, a także urząd podatkowy, z którego wiatr roznosil płonące książki i przez to pożar się szerzył. Wreszcie zapalono domy wokoło nas, a w ten czas zajął się front naszego domu, i nikomu gasić nie pozwolono, u nas było wtedy rannych do 200, trzeba ich było ratować,ratować też wszystko przed rabunkiem, bo Moskale chodzili tylko po domu i szukali co porwać, i wołali: „gdzie macie diengi, dajcie zaraz diengi“. Dostali się wreszcie w kancelaryi do szafki, w której znaleźli 6 Kor. centami i kilka próżnych portmonetek, więc to z radością zabrali, a z refektarza wszystkie łyżki z szufladek. Gdy pożar zniszczył zabudowania z frontu, aptekę, salę mężczyzn, a dach na kaplicy kończył się palić, to w ten czas zaczęli Moskale ratować, bo się obawiali, by się wkrótce nie zajęła cerkiew, którą od swego przybycia zrobili prawosławną. Ratowali do 10 godziny i poszli spać, my zaś z dziećmi ratowałyśmy, jak mogłyśmy, przez całą noc i następne dni, aż 5. września dopiero całkiem ugaszone

było. Mieszkałyśmy zaś w pozostałej części domu. Dość często Moskale doradzali, aby się z tej spalenizny wyprowadzić, ofiarowali nam przytułek w Rosyi; szczególniej mieli ochotę zabrać sieroty. Ale podziękowałyśmy za tę łaskę. Pięknie jednak postąpił sobie jeden z nich, bo nam pomagał ratować, wynosić; radził gdzie co chować i jak z Moskalami postępować. Zajął się tem, że można było Najśw. Sakrament i figury Najśw. Panny, jak mowił: „polskiego Boga i Panienki Boże“, pochować do cerkwi. Była zamkniętą, jednak on się postarał, że ją otwarto, i wszystko w bezpiecznem miejscu złożono. Odtąd nie miałyśmy już i kącika spokojnego, a złe wieści, jakie Moskale szerzyli o naszych, bardzo nas martwiły, a gdyśmy się dowiedzłały, że Przemyśl upadł, boleść była nie do opisania; wszystko płakało i dziwiliśmy się, że na to św. Józef pozwolił w swoim miesiącu. Nasze dzieci, które Go tak błagały o zwycięstwo dla naszych, gdy ostatniego marca, wyniesiono figurę z kaplicy, szeptały sobie: „św. Józef się wstydzi, że dał Przemyśl i dlatego prędko uciekł do Egiptu“. I znów pocieszały się myślą, że w maju przyjdzie nasze wojsko. Napisało więc każde list do Najśw. Panny, wyrażając różne swoje życzenia, a szczególniej to, żeby nasi przyszli, listy te dały pod figurę Najw. Panny i z końcem miesiąca oczekiwały skutku swej prośby. Żal bylo na nie patrzeć, gdy i teraz się zawiodły, lecz nie traciły ufności i znów oczekiwały tego od N. S. P. Jezusa. Tymczasem, jakby dla wypróbowania ich ufności, przyszedł oficer moskiewski do rabowania folwarków; zabrał wszystko, co się tylko przydać mogło: bydło, maszyny, pługi, jednem słowem wszystko, zostawiając tylko ściany. I nie poprzestali na folwarkach, wzięli się do biednych ludzi i ostatnią krowę im zabierali; płacz był w całem mieście, po pięcioro dzieci czepialo się tej krowiny, trzymały ją za szyję, że ją nie dadzą bo ona ich żywiła, a teraz nie będą miały kropli mleka, lecz i to nie wzruszyło tatarskiego serca (gdyż ten oficer to był Tatar). Bywało, że zabrane bydło uciekało do swej zagrody, wtedy je bito nie-

litościwie nahajkami i brano napowrót. My swoje krowy schowałyśmy do piwnicy pod kaplicą, lecz im tam źle było więc ryczały i zdradzały swoją obecność. Gdy już się je wyprowadziło, prawie wszystkie chorowały z tej wilgotnej kwatery, ale jakoś udało się je uratować. Im bliżej były nasze wojska, tem więcej Moskale rabowali. Dopóki mieszkał u nas komendant etapu, to jeszcze jako tako było, bo się go bali, lecz gdy już on wyjechał z etapem do Rosyi, to było żniwo dla kozaków, gdzie mogli to grabili, a zwłaszcza w nocy wypadali ze szańców, jak dzikie zwierzęta za żerem. Jednej nocy wysadzili u nas ciężkie drzwi od ganku, dostali się do piwnicy, zabrali z niej wszystko, co tam było, jaja, mięso, Siostrze z kuchni różne drobiazgi. Gdyśmy się na to zbudziły, już nikogo nie było, wzięłyśmy się do zabarykadowania wysadzonych drzwi, a tu jawi się druga banda i dobija się do drzwi, przy których my jeszcze stoimy. Na zapytanie, czego sobie życzą, krzyknęli: „idźcie spać". Gdyśmy się nie usuwały, spytali, która tu Przełożona, a przykładając bagnet do piersi wołali: „dawaj pieniądze". Gdy posłyszeli, że nie ma, dalej, prowadzić do kancelaryi, i tam przetrząsnąwszy wszystko, a nawet łóżko, siennik, materac, a nie znalazłszy nic, zabrał piękną kołdrę z łóżka, którą tej samej nocy sprzedał za 30 kop. Kazali się znów prowadzić do sypialni. Tu zaczęli rewidować szafki przy łóżkach, szuflady i szufladki, ale nic nie znaleźli. Ponieważ między nimi był jeden Polak, więc przemówiłyśmy do jego ambicyi, by zaprzestał i drugim zakazał rabunku i to jakoś poskutkowało, bo sobie poszli. Siedziałyśmy do rana i czekały na dalsze wizyty; ale ich juz nie było. Słyszałyśmy tylko dochodzące z miasta płacze i krzyki, bo i tam, tylko jeszcze złośliwiej dopuszczano się podobnych rzeczy. Oj ciężkie to były dnie, dlatego wzdychaliśmy ogromnie za naszymi, a tu jak na złość sprowadziły się do nas z Tarnopola 4 sestryce i zamieszkały u nas, mówiąc: że tu będą 4 miesiące, ale na szczęście na drugi dzień się wyniosły za granicę, bo nasi byli blisko. Jakoż rzeczywiście dawały się strzały coraz bliżej słyszeć i tak było

przez tydzień. Nareszcie już armaty i szrapnele zaczęły błądzić po naszem podwórzu (gdyż za naszemi murami było kilka rzędów szańców moskiewskich więc do nich celowali) już i dom nasz ucierpiał dosyć, aleśmy to cierpliwie znosiły, bo się nasza niedola zbliżała ku końcowi. Jedynem teraz naszem pragnieniem było, aby w mieście do ataku nie przyszło. Ale wkrótce zaczęły się pobliskie wsie palić (a to znak cofania się Moskali) i to nas pocieszyło, nareszcie u nas zjawia się kozak i powiada, że ma rozkaz tej nocy całe miasto spalić, a zostawić najwyżej 7 domów, otrzymał mały datek pieniężny, aby nam już dał spokój. Jedynem naszem marzeniem było, abyśmy nazajutrz t. j. 7. września ujrzeć mogły naszą patrol. W nocy wysadzono ogromny młyn amerykański; huk był straszny, a że to było w nocy, zerwałyśmy się na równe nogi, sądząc, że to nasz dom w robocie. Z trwogą czekałyśmy rana, co nam nowego przyniesie. Po mszy św. dają nam znać, że się patrol austryacka do bramy dobija; z drugiej strony od kaplicy toż samo. Nie chcemy wierzyć własnym oczom, lecz widząc, że to prawda nie podstęp moskiewski, nie posiadałyśmy się z radości. Prosimy ich więc na śniadanie, dajemy, co mamy, cały dom się schodzi, by ich zobaczyć; każdy wita, przyszły i sieroty, cieszą się niemi a najmniejsza z nich, Zosia, wychodzi na stół, chwyta za szyję, ściska, całuje i mówi: dziękuję panom, że nas wybawili (ci się rozpłakali, być może przypomnieli sobie swoje dzieci, które zostawili w domu). Oficerom zaś podaje rękę i servus panom, że nas oswobodzili, ci również wzruszeni, włożyli jej swój mundur i odfotografowali, zostawiając jej, co mieli przy sobie, na pamiatkę. Gdy się zjawiły całe pułki wojska, ludność ustawiła się wzdłuż gościńca i każdy co miał to im nosił: chleb, miód, ser, ogórki kiszone, a już najchętniej brali papierosy. A że to przeważnie byli Węgrzy, więc jedna pani węgierka, która u nas mieszkała, witała ich po węgiersku i to im wielką przyjemność sprawiło. Sami mówili, że takiego przyjęcia serdecznego nigdzie nie mieli. Och! bo ich też może nikt tak nie pragnął,

jak my, ucierpiawszy tak wiele. Nazajutrz 8. września 1915 r. zadzwoniono na mszę św. we wszystkie dzwony, które cudem ocalały, gdy bowiem wszędzie dzwony zabierali Moskale, u nas odkładali na koniec, że małe, a potem nie mieli czasu więc zostały. Odprawiono uroczystą sumę dziękczynną, na której już i wojsko było. Od tego czasu kościółek nasz stał się niejako ich parafią, gdzie się codziennie niemal gromadzą. Cd nas też biorą hostye i komunikanty, o ile mamy, dla wojska. Już przeszło milion ich dano. Przed Bożem Narodzeniem urządzili wojskowi księża tryduum: spowiadali wojsko i komunikowali. Uważamy, że w ogóle często się spowiadają, podobno każda zmiana wojska w szańcach, spowiada się przy przyjściu i na odchodnem, a są tacy, którzy codziennie komunikują. Także przy nadesłaniu chorego, najprzód ksiądz spieszy z pomocą religijną. Ponieważ przed wilią przychodziło wielu po opłatek, więc się im u nas urządziło wilię. Na korytarzach zrobiono prowizoryczn. stoły, ubrano drzewko i zasiedli do wspólnej wilii, podczas której sieroty im kolędy śpiewały. Taką im to przyjemność sprawiło, że niektórzy płakali. Następnie udali się do naszej kapliczki na „Pasterkę“, ile się tylko pomieścić mogło. W Boże Narodzenie kilku księży wojskowych miało u nas msze św. na których wojsko kolędowało na każdej mszy św. w innem narzeczu lub grali na trąbach. Na wilię dla naszych dzieci przysłał Ekscel. Generał 50 kor., który przed tem już dał 50 kor., pp. oficerzy w domu 25 kor., tak, o ile my starałyśmy się im przyjemność zrobić, oni też zaraz odpłacają. Od Bożego Narodzenia nie było nic szczególnego w naszym domu.

Ale od pierwszej niedzieli postu zaczęły się już spowiedzie wielkanocne dla wojska. Popołudniu przychodzą setkami do naszej kaplicy, a na zajutrz do komunii św., a podczas mszy św. grają na trąbach. Wszystko to odbywa się w największym porządku.

Od przybycia naszych miasteczko się ożywiło z powodu ciągłego ruchu wojska. Był nawet u nas Następca

tronu, zwiedził linię bojową, a następnie Korpskommando wraz z przedstawicielemi władzy cywilnej. I nas tam zaproszono. Sprawił miłe wrażenie na wszystkich, do każdego coś przemówił, a nawet popisywał się polską mową. Wszędzie zastał dobrego ducha w wojsku i rzeczywiście trzeba przyznać, że tak jest.

Dnia 4. października, niektórzy dawali małą jałmużnę, aby się biedni modlili za Najjaśniejszego staruszka. Przed tym dniem, gdyśmy Jego portret chciały ozdobić, każdy nam chciał w dekoracyi pomagać.

Zaproszono też nas, na otwarcie Feld-Kina, sam Ekscelencya przysłał, żeby Siostra Przełożona przyszła, ale dodał: „z drugą Siostrą, bo Wam samym nie wolno chodzić". Przedstawienie było wesołe, ale bardzo przyzwoite, był na nim cały sztab, burmistrz, dwie Siostry i żołnierze, którzy koło tego pracowali. Byli nam wdzięczni, żeśmy nie odmówiły i przyszły, i odtąd jeżeli jest coś dobrego dla dzieci, to zaraz który z oficerów da znać, żeby wychowanki nasze przyszły z Siostrami. Naturalnie, że z tego się nie koniecznie korzysta.

W październiku ustawiono dużą armatę „Bertl-Helenę" za naszą kaplicą; ogromnieśmy się jej wystraszyły za każdym wystrzałem hałas nie do opisania, cały dom się trząsł, ściany pękały, szyby po 17 na raz wypadały i tego gościa miałyśmy parę dni, aż nareszcie posunęła się bliżej linii bojowej. Innych niespodzianek też mamy dosyć, jak granaty, szrapnele i bomby. Trafiło się, żeśmy raz jechały z Trościańca koło trenu, i słyszymy nad sobą aeroplan moskiewski i w tejże chwili straszny huk, a to trzy bomby spadły, lecz na szczęście kilkanaście kroków w bok od nas i nikomu nic nie zaszkodziły, bo ugrzęzły w ziemi. Następnie pięć bomb rzucił na Trościaniec, lecz tylko od jednej spaliło się domostwo gospodarza; z temi ptaszkami co tak biją, jużeśmy się trochę oswoiły, ale zawsze z trwogą na nie patrzymy.

Oto Najczigodniejsza Matko, jak Pan Bóg w swej dobroci i Nasza Niepokalana Matka opiekowała się nami

że wśród tych ciężkich przejść żadna z nas nie ucierpiała. Byłyśmy nieraz bardzo wystraszone, straciłyśmy i datę, a jedna drugiej pytała, jaki to dzień; byłyśmy nieraz i bez mszy św. ale nigdy bez komunii św., a ta nam siły dodawała do przetrwania wszystkiego dotychczas. Co dalej będzie, nie wiemy; ale to więcej jak pewno, że gwiazda szczęścia jeszcze nad nami nie świeci; lecz ufamy, że jak dotąd tak i nadal nie wypuści nas Najśw. Panna ze Rwej wielowładnej opieki; wszak Ona powiedziała, że zawsze będzie z ukochanem naszem Zgromadzeniem. Tem się pocieszając śmiało patrzymy przyszłości w oczy, choć nie wiemy, czy zaraza czy głód nam grozi. Przy tem ufamy modlitwom naszych Sióstr, które słysząc o naszych przygodach nie omieszkają zapewne polecić nas P. Bogu, pełniąc przez to uczynek miłosierdzia.

* *
*

W poprzednim liście opisałam Najczigodniejszej Siostrze Wizytatorce nasze przejścia wojenne do maja 1916 r. Maj w ogóle minął spokojnie, dopiero z początkiem czerwca spostrzegłyśmy niezwykły ruch. Wyprowadzał się szpital, który mieszkał u nas 9 miesięcy Byłyśmy w strachu, bośmy przeczuwały znów jakąś katastrofe; i rzeczywiście, w kilka dni później, uprzedzają nas w sekrecie, abyśmy się wyprowadziły z klasztoru, gdyż prawdopodobnie nastąpi ewakuacya. Chcieli nam dopomódz forszpanami, a nawet 30 fur ofiarowali. Lecz trudno się było na to zdecydować, bez decyzyi Najczigodniejszych Przełożonych, tembardziej, że wszyscy w mieście byli, nikt się nie ruszał. Użyłyśmy protekcyi starszych wojskowych, aby wrazie ogólnej ewakuacyi nas zostawiono, i ci nas zapewnili, że my się utrzymamy wraz z całym domem, choćby wszyscy musieli iść. I ledwieśmy się pocieszyły, że zostaniemy, a tu 28. lipca 1916 r. jak grom uderza nas rozkaz wydany o 12 godzinie, aby za 4. godziny całe miasto się wyprowadziło i my też, bo ani jedna osoba nie może zostać. Taki był nakaz głównodowodzącego. A zatem żadna władza nie może nas od tego

uwolnić. Krzyk, płacz w całym mieście, każdy ucieka jak i z czem może, lecz nam to najtrudniej, dzieci płaczą, starcy i dzieci ruszać się nie chcą, kapelan, staruszek 80 letni, ani myśli opuszczać mieszkania i swoich kanarków, których miał jeszcze trzy klatki. Nic nie spakowane i jak to wywieść, kiedy tylko jedna para koni, a tu ciągłe nawoływania, aby się śpieszyć, bo będą mosty wysadzać. Ach jak to okropne było! Upadałyśmy od zmęczenia i gryzoty, płacz sierot, jęk biedaków u nas się chroniących, ryk bydła wypędzanego z obór, to wszystko coraz bardziej nas przygnębiało. Nie było nawet komu pomódz nam, bo każdy sobą był zajęty, wojsko nie mogło dać koni, bo czemprędzej uciekało; wzięło tylko kaleki u nas będące pod swoją opiekę i tych wywiozło na Trościaniec. Pożyczyłyśmy z trudem drugiej fury, i temi dwoma furami wszystko trzeba wywieść odrazu, bo wracać nie wolno. Ma się rozumieć zabrałyśmy tylko to, co najkosztowniejsze i najpotrzebniejsze, reszta zaś została. Fury napakowane, ledwo mogą ruszyć, i gotowe do odjazdu, a X. kapelan chce koniecznie zostać, lecz żołnierz przysłany ostro zmusił go do wyjazdu. Więc wsadziłyśmy go do małego wózka wraz z kanarkami i przywiązały sznurami do wielkiego woza, i tak ruszyłyśmy z domu. Ledwo kilkanaście kroków konie ruszyły, gdy wystraszone samochodami skierowały w bok, a wózek z X. kapelanem znalazł się w rowie, trzeba go było wyciągnąć z rowu i pchać do wozu, a że nie było komu pomódz, bo wszystko już uciekło, więc uskuteczniły to Siostry. Tak idąc za wózkiem przywiązanem, doszłyśmy do mostu nad stawem, na którym były już dwa treny, trzeci nadjeżdżał, i nasze fury wraz z inwentarzem żywym, jaki jeszcze był, my za furami, z tobołkami i pakunkami lub z workami swoimi na plecach, jedna z sióstr niosła nawet kurę pod pachą, dziewczyna we fartuchu 12 bezrogów malenkich, a dwie duże prowadziły koło siebie, i tak wszyscy jesteśmy na jednym już podminowanym moście, a tu cały szereg samochodów z uciekającym sztabem zajeżdża na most. Konie się płoszą, wszystko ściśnięte, że się ruszyć nie można

straszny krzyk, nawoływania wojskowych o pośpiech, i lada pchnięcie, można się znaleść w stawie. Ledwo uprosiłyśmy wojskowych, że nas przepuścili, a tu znów wózek z księdzem się odwiązał, ale jakiś żołnierz się zlitował i dopomógł ruszyć z miejsca. W takiej ciżbie ujechały nasze fury 3 klm. Znalazłyśmy się za miastem na polu. Tu dopiero jedni drugich szukali, a wielu się znaleść nie mogło. Sztab do Trościańca, cywilnych brano na kolejki i odwozili ich do stacji w Zbo rowie, a my do lasu. Koło 12-stej w nocy, byłyśmy w lesie, w naszej leśniczówce. Domek nie wielki, na widoku przyjaciół i nieprzyjaciół, w samym środku między nimi. Ledwośmy chwilę odpoczęły, gdy dał się słyszeć huk wysadzania mostów. Rano spostrzegłyśmy, że w temże lesie stoi wojsko austryackie i armaty, przeczuwałyśmy, co to być może, jak Moskale spenetrują. I rzeczywiście zauważyli to lotnicy rosyjscy i natychmiast zaczęła się strzelanina nad naszemi głowami. Byłyśmy w strachu. Powieszałyśmy medaliki wszędzie w mieszkaniu, a nawet w około domu na płocie, same zaś chroniłyśmy się do naszej małej lichej piwniczki, z której, gdy trzeba było nie mógł się dostać nasz X. kapelan. Wsród gradu kul nad głową przebyłyśmy tak 7 dni będąc każdej chwili narażone na śmierć, lecz choć miałyśmy księdza ze sobą, mimo tego nie mogłyśmy się do niej przygotować. Ksiądz ten zaczął coś dziecinnieć i wcale nam odwagi albo pociechy nie dodawał, ale przeciwnie sam jej potrzebował. Czuliśmy, że nie umrzemy, bo Matka Boska, do której udawałyśmy się z taką ufnością, zachowa nas. Przyjechał jenerał austr. i przedstawiał jasno niebezpieczeństwo, w jakim się znajdujemy i szczerze radził, abyśmy dalej uchodziły. Lecz czekałyśmy ciągle na odpowiedź z Krakowa, co mamy robić. Nazajutrz byli Moskale tylko kilka kilometrów od nas. Przyszedł nasz pobereźnik mieszkający też w tym lesie, i namawiał uciekać dalej, bo lada chwila przywalą nas gruzy tego domu, że dom nasz się rozsypie jak jego, że jest źle bo Moskale już w lesie. Ale widząc naszą chęć zostania i odwagę, zostawił przy nas swoją córkę, a sam poszedł

dalej i schronił się do jakiejś chaty, w którą zaraz granat uderzył i 9 osób wraz z nim rozszarpał w kawałki, że rozpoznać trudno, że to byli ludzie; był to stos drobnych cząstek ciał ludzkich, które zaraz nakryto ziemią. Gdy za 3 dni przyszli Moskale rabować jak zwykle, i ten grób rozrzucili, myśląc że tam co ukryto. Siódmego dnia naszego tam pobytu, już było nie do wytrzymania. Austryackie wojska zaczęły się cofać, i ustawiły się do ataku przed naszym domem. Ach jakie to okropne! Większe pociski łamały drzewa lub je z korzeniami wyrywały, szrapnele pękały w powietrzu nad głowami i raniły wojsko (wtedy i nasz najładniejszy koń był zabity), maszynowe karabiny bezustannie grały, karabiny ręczne świszczały, a biedni żołnierze z szeregu przychodzili do nas po medalik. Nie można było już nastarczyć, od koronek odczepiałyśmy, aby im tylko dać. Widziałyśmy same, że trudno tu będzie wytrzymać i zaczęłyśmy myśleć o uciekaniu dalszem. Przyrządzono wozy z wieczora, aby je w nocy naładować i przez pola najkrótszą drogą udać się gdzie do Sióstr n. p. do Białego Kamienia. Ale zaczęto znosić rosyjskich rannych i z tego domyśliwałyśmy się, że niedługo wpadniemy w ręce Moskali. Więc dalej do wozów, aby rzeczy ładować, a tu już, ani wozów, ani koni. Moskale gospodarują, rozbierają budynki gospodarskie, uprowadzają krowy, które przemocą im odebrano; pasieka się pali, snopki zboża kładą pod konie, w ogóle niszczą co im wpadnie pod rękę. Nie było już ratunku, trzeba było zostać. Ponieważ tylko najważniejsze rzeczy n. p. kościelne można było w mieszkaniu pomieścić, więc reszta jak wiktuały, bielizna i odzież dzieci schowane były w pobliskiej stodole tuż obok domu. Żeby nam tego nie zabrali, prosimy pułkownika, aby im zakazał rabunku. On święcie przyrzekł, dał nawet żołnierza na ostro, aby stał przy drzwiach i kłódki pilnował, a ten rzeczywiście dopełnił obowiązku. Na drugi dzień widzimy na drzewach w lesie jakieś kolorowe rzeczy po rozwieszane; patrzymy, a to odzież dziecinna, lecz kłódka jest idziemy dalej, a dwie ściany stodoły wyjęte, żywność zabra-

na, bielizny dużo brakuje, a na naszej pościeli śpią oficerzy, może nawet i ten pułkownik, który wartę postawił, tak to wierzyć Moskalom! Zostałyśmy więc bez chleba, w ogóle bez żywności, a co się dało jeszcze uratować, zabrałyśmy ze sobą do piwniczki i do mieszkania; ale i tu trafili; po-wyciągali szyby w ganku i wyciągali, co się tylko dało. Nareszcie im się zachciało mieszkać u nas. Zajęli tę stancyę, gdzie był kapelan, potem gdzie my, do kuchni zaś przyszło pełno żołnierzy „czaj“ gotować. Nam już tylko piwniczka została, i tu przyszli szukać telefonów, a zobaczywszy, że mamy jeszcze pakunki, kazali nam się zaraz wynosić gdzie nam się podoba, a wszystko zostawić i to jak najprędzej, bo będą gazowemi kulami strzelać. Proszę sobie wyobrazić nasze położenie, gdzie iść wśród gradu kul armatnich, że na około nas jama koło jamy, że w naszych oczach raniło ciężko żołnierzy, odrywało im nogi i ręce, że w koło nas i w lesie świeże pobojowisko, zasłane, jak mówili dwutysiącami trupów lub ciężko rannych, że żołnierze chowają się do okopów jak mogą, a my mamy iść, bez żadnej ochrony prócz korneta na głowie, o którym Moskale mówili, że jak Austryjcy zobaczą ten biały aeroplan to nie będą strzelać. Czyby kto uwierzył, żeśmy się na to zgodziły? Najprzód dlatego żeśmy dziwną miały ufność w Cudownym Medaliku, że nas obroni, więc pieszo miałyśmy wracać do Załoziec. Ale X. kapelan zaznajomiwszy się z jednym oficerem, prosił go o konie dla siebie, bo pieszo nie zajdzie. Wtenczas oddali nasze konie i wozy, na które znowu resztę pakunków nakładłyśmy, a że już nie było miejsca na nich, więc X. kapelan został jeszcze z tą rodziną, u której mieszkałyśmy, aż mu przygotujemy mieszkanie w klasztorze i przyślemy po niego. Nasi domownicy pokładli swoje rzeczy na jakiś mały stary wózeczek i zaprzęgli do niego nasze krowy, które nie przyzwyczajone do tego, popędziły z tem wózkiem gdzieś w las, zostawiły go, a same poszły do klasztoru. Wóz z rzeczami przepadł, bo żołnierze zaraz je rozebrali. Skoro Austryjacy zobaczyli naładowane wozy, sądząc, że to

tren rosyjski, zaczęli gwałtownie strzelać, kazali nam Moskale zaczekać, a gdyśmy chciały zaraz iść, podziwiali naszą odwagę. Gdy się dowiedzieli, że my tak ufamy Cudownemu Medalikowi, jeden oficer mający iść pod okopy austryackie, prosił o pożyczenie tego medalika. Idąc tam niósł go przed sobą jak tarczę, i po dłuższym czasie wrócił z nim zdrowy, i oddawał z podziękowaniem. Gdy się dowiedział, że może go sobie zatrzymać, bardzo się ucieszył i odtąd był dla nas łaskawszym. On nam też radził już jechać do domu i zapewniał że Austryacy do nas strzelać nie będą, bo nas poznali. Możebnem nam się to zdawało, gdyż oni byli na górze niedaleko od nas a my w dolinie u stóp tej góry, to i bez lornetki można było nas poznać. Ruszyłyśmy w las. Lecz jakiż straszny widok nam się przedstawił! brodziłyśmy jeszcze w świeżej prawie krwi wśród niezastygłych jeszcze trupów, których żołnierze wraz z popem zbierali i składali przy drodze, swoich osobno, Austryjców osobno, aby ich potem w jakiem dole zagrzebać. Wszędzie bomby, granaty ręczne, jeszcze nie eksplodowane, nie jedna głowa, daleko od swojego korpusu, lub też wnętrzności osobno, to się nie da opisać tej zgrozy jaka tu tchnęła, to tylko trzeba widzieć, aby wiedzieć, co to jest pobojowisko. Spojrzałyśmy w okopy i tam to samo, nielitościwa śmierć nie oszczędzała nikogo.

W jednym jednak miejscu spostrzegłyśmy w okopach klęczącego jeszcze, na jednem kolanie Austryaka, porucznika ze złożonemi rękoma jak do modlitwy a przed nim otwarta książeczka do nabożeństwa, on zdawał się z niej czytać. Przystąpiłam do niego sądząc że żywy, by się go co zapytać, aż mię Moskal poinformował, że to już nieboszczyk, a że jednak nie ma znaku w jaki sposób zginął, widać że był pobożny, i tak go Bóg zabrał, i wróg mu tego pozazdrościł; oj może więcej byłoby takich obrazów, ale trzeba było to pominąć, bo czas naglił. Przeszłyśmy tak las. Wprawdzie bezpieczniejsze od strał. ale z smutnem wrażeniem w sercu na myśl tego, cośmy widziały.

Teraz przed nami otwierało się czyste pole, z dwóch stron armaty skierowane na nas, a wzrok walczących skierowany ku nam. Radził nam pop, nie iść dalej, tembardziej, że idziemy za furami, więc będą Austryacy strzelać do nas. Pogoda tego dnia była śliczna, a zatem doskonale było widać. Lecz P. Bóg nam dopomógł. W chwili, gdyśmy wychodziły na ową polankę, spadł tak rzęsisty deszcz, że jedna drugiej prawie nie widziała, przestali strzelać, a my biegły jak tylko mogły, kilka kilometrów, aby się dostać do pobliskiej wioski, lecz napotykałyśmy na druty i okopy, przez które trzeba się było przedostać. Szło nam to nie łatwo, bo wszystko mokre na nas, ale znalazłyśmy się wreszcie we wsi, a raczej w zgliszczach, bo ani jednej chałupy nie było, resztki się dopalały, a także i zwierzęta spalone, z czego było powietrze nie możliwe do oddychania. Lecz cóż było robić. Deszcz przestał padać, trzeba się było spieszyć, by nas nie zobaczono, a w tym się nasz wóz wywrócił do jamy, gdyż ich tam pełno było. Nie było komu dźwignąć go, próbowałyśmy same, ale daremnie. Zlitowali się przechodzący Moskale i dopomogli, my zaś z błota zbierałyśmy co się z niego wysypało. Z trudem szłyśmy dalej, bo bardzo zła droga. Ledwośmy się wlekły, a tu się zbliża w żołnierskim ubraniu jakiś chłopak 15-letni, i zaczyna w najgorszy sposób nas wyzywać, po co się wracamy, żeśmy mogły iść za Madziarami, i mówi nam głupstwa, których powtórzyć nie wypada. To pierwsze przyjęcie. Drugieśmy miały nie lepsze, i tak co krok miałyśmy co słuchać za to,' że wracamy. Dobiliśmy nareszcie do rogatki założieckiej i tu się schroniłyśmy przed padającym obfitym deszczem. Czekamy na fury, których jeszcze nie było, a była to już 6 godz. to znaczy, że z lasu te 7 kilometrów jechałyśmy od 11 do 6-tej. Podczas tego czekania w rozwalonej chacie nikogo nie widziałyśmy prócz złorzeczących nam Moskali. W tym jawi się jakaś kobiecina, ze łzami rzuca się nam do nóg, że wracamy; cieszy się, bo jej nieprzyjemnie samej mieszkać wśród tej dziczy. Widząc, że my zziębnięte, przemokłe do nitki, że każda się trzesie

jak we febrze, przyniosła na rozgrzanie niby kawy, czy coś podobnego; aleśmy się ucieszyły, żeśmy się czegoś napiły, bo niektóre byłyśmy jeszcze na czczo. Nim nasze fury przyjechały, już się zupełnie zciemniło. A że furman nasz jeden i drugi mało co widział, proszę jednego z stojących sołdatów, aby im dopomogli zjechać z góry, a ten mię nawymyślał i powiada: „A sama na wóz nie łaska? Widzisz ją, intelegentka, manterace wiezie i na tych śpi. A idź że sobie sama na furę i poganiaj w lewo i w prawo, to pojedziesz" i t. d. a co mię najwięcej bolało, że mówił po polsku, bo od Polaka tegom się nie spodziewała. Musiano te fury nasze usunąć na bok, bo jechało 150 armat rosyjskich. Już zupełnie ciemno. Nie chciałyśmy stać dłużej wśród złorzeczących nam Moskali. Proszę więc oficera, by ten kazał nam dopomódz do odjazdu. Ten nam pozwolił jechać przed swoją armatą, i nie zwykłą drogą, lecz inną jakąś, bo most na stawie był zniszczony i my tak stosownie do armat, to pomału, to znów biegniemy prędko, a ciemno, deszcz pada, przewracamy się po drodze, a z błota ani się wydostać. Wstając z błota wpadłam w pełne wody okopy austryackie, a coś dwa metry głębokie. Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałam. Podczas naszego upadku, fura nasza, za którą my szły, odjechała w inną stronę z armatami, dopiero dzieci na niej będące zaczęły płakać i prosić, by ich do nas wrócono. Jedna z Sióstr pobiegła za tą furą, aby ją zawrócić, lecz i ona nas ledwie znaleźć mogła, bo to już 12 godzina w nocy. Dojeżdżamy do jakiegoś prowizorycznego mostu, świecąc zapałkami, i jesteśmy na koniec w rynku w Starych Założcach. Tu nam patrol zastępuje drogę, że o godz. 12-tej nikogo do miasta nie puści, aż jakiś oficer wbrew zakazowi nas przepuścił. Dojeżdżamy nareszcie pod klasztór, a konie wpadły znowu w jamę wraz z wozem i znów Moskale wyciągali, i stanęliśmy przed swoim domem. Odetchnęłyśmy. Idziemy w podwórze, lecz nas natychmiast nie bardzo grzecznie wyproszono, a jedną z Sióstr, która chciała odpocząć na kamieniu w bramie, za plecy stamtąd wyrzucono. Takie-

śmy miały przyjęcie we własnym domu. Kazano nam czekać pod bramą na deszczu, aż przyjdzie dyżurny oficer. Zjawił się może za godzinę nie kontent z naszego przybycia. Udaje, że nie wie, iż to nasz klasztor (chociaż był przez telefon poinformowany od generała z lasu, że przyjedziemy) kazał nam sobie iść szukać mieszkania. Ale gdzie? mało gdzie stał jaki domek, i zajęty przez żołnierzy, którzyby nam nie ustąpili. Więc zostałyśmy pod bramą i znów się dobijamy, lecz nam powiedziano już nieco grzeczniej, że tu mieszka główna komenda, to cywilnym nie wolno być. Ów dyżurny oficer zaprowadził nas do jakiejś chaty; prosimy o światło, aby obejrzeć nową siedzibę, a to na pół rozwalona izba; cały jej środek zajmują rumowiska, a tylko po boku można się schronić przed deszczem. Przypatruje się nam do światła, kim jesteśmy, my się przedstawiamy, jako Siostry Miłosierdzia, choć co prawda, nasze ubranie nie wyglądało wcale po zakonnemu a kornet pospinany szpilkami ledwo się głowy trzymał. Niedowierzał nam oficer i mówi: że takich zakonnic nigdy nie widział. Miał słuszność, bo takich zabłoconych, zmokniętych, z takiem czemś na głowie to chyba nikt nie widział. Lecz gdyśmy mu opowiedziały nasze przygody, uwierzył w końcu. Na prośbę naszą przysłał nam swój samowar i czaju, za cośmy mu były bardzo wdzięczne. Rozgrzawszy się cokolwiek, powykręcałyśmy swoje ubrania z wody, aby prędzej wyschły i tak na ziemi przesiedziałyśmy całą noc. Sądziłyśmy, że rano puszczą nas do klasztoru. Ale gdzie tam. Nie wolno nam było nawet wejść do niego, chociaż tam było już nasze bydło. Obiecali za trzy dni, gdy posprzątają na nasze przyjęcie. Byłyśmy ciekawe jakie to będzie sprzątanie, i wkrótce zobaczyłyśmy dwie fury pełne naszych mebli i różnych rzeczy, a za nimi oficerzy pojechali. Więc my czemprędzej do klasztoru z rzeczami, przenosimy na plecach jak możemy, bierzemy się do roboty, a było co robić. W całym domu istne śmiecisko nawet i w kaplicy. Przyrządzono pokój dla X. kapelana i posłano po niego do lasu. Było to 14 sierpnia, a na za-

jutrz była już msza św. pierwsza po trzech tygodniach. Zagospodarowałyśmy się na nowo i z rozmaitemi przejściami przeżyłyśmy znowu rok.

W tym czasie, 12 lutego 1917 roku umarł X. kapelan. Byłyśmy zupełnie bez księdza, bo w parafii nie było żadnego, bo i ludzi zaledwie kilka rodzin było. Przyjeżdżał ksiądz z Trościańca w niedzielę dla odprawienia mszy św. Poza tem wszystkie nabożeństwa odprawiałyśmy same z ludźmi. Na św. Wincentego był odpust jak zwykle, i w tym to dniu przerwali Austryacy linię Moskalom w Olejowie i zbliżali się do Załoziec. Moskale uciekali zabierając ze sobą co się da. Podpalili swoje magazyny, piekarnie i skład amunicyi wartości półtora miliona. Było dużo dynamitu. Kiedy więc ten podpalili, całe miasto trzęsło się. Wszystkie szyby wypadły, mury, sufity popękały. Przez 7 godzin się paliło. Amunicya w ogniu eksplodowała. Wszystko to o kilometr od nas. Trzeba się więc schronić do piwnicy. Przesiedziałyśmy w niej 2 tygodnie we dnie i w nocy, bo Austryacy stali w Starych Załoźcach i strzelali do klasztoru, gdyż na około nas były okopy rosyjskie, a z naszych okien, strzelało wojsko rosyjskie z karabinów maszynowych do Austyaków, a ci im w czwórnasób odpowiadali. Byłyśmy celem tej strzelaniny i cerkiew koło nas będąca. Całą ochronę miałyśmy w tej piwnicy, wszystko się w niej mieściło, i ludzie z miasta, i my, i ksiądz z Trościańca; żołnierze, którzy nas pilnowali, a i psy, gdy armaty huczeć zaczęły tu uciekały. W całym domu pełno wojska. Ciemno, bo świecić nie wolno; chłodno, bo piwnica wilgotna; głodno, bo gotować nie można; spać nie ma gdzie i jak, bo całą noc chodzą po piwnicy i ciągle czegoś szukają, badają, co my za jedne, mówią, że my szpiegi austryackie i chcą nas wypędzić. Szczęściem miałyśmy jednego oficera przychylnego, który się przedstawił, jako obywatel z pod Kijowa, Władysław Grudziński ożeniony z bratanicą ministra Bilińskiego. Jego więc wpływem broniłyśmy się przed Moskalami. Pocieszał nas, jak mógł i otuchy dodawał, ale trudno tak było żyć.

Przez całe 2 tygodnie nie kłaść się spać, tylko tak siedząc, nie módz się nawet obczyścić z robactwa, które ludzie nanieśli, ach to okropne! Wydobyć się z tej piwnicy na wierzch, było niebezpiecznie, bo granaty ciągle sufity przebijały w pokojach i na korytarzach. Przeciskać się przez to żołdactwo, było nieprzyjemnie, ale trzeba było pilnować bo rabowali, a zwłaszcza kaplicę, w naszych oczach; i to nie tylko żołnierze, ale i oficerzy, mówili, że teraz swoboda, to wszystko można. Kiedy już p. Grudzińskiego nie było, przyszło do nas dwóch oficerów o 12 w nocy, że mamy się zaraz zabierać na fury, bo taki rozkaz jenerała, kto zaś nie chce będzie rozstrzelany; więc ludzie w płacz i idą do komendanta, my z niemi prosić, żeby nas zostawił, bo nikt nie chciał jechać do Rosyi. Ten nas za drzwi wyrzucił i kazał się zbierać. Jedna rodzina z księdzem z Trościańca wyjechała, a po nas o 3 z rana miały fury przyjechać. Gdyśmy wróciły od komendanta, już oficerzy piwnicę zrabowali. Poszłyśmy pilnować reszty na dormitarzu, a oni za nami, i w naszych oczach przeszukali, a co im się podobało brali, jednak tego dnia nas nie zabrali, bo bardzo strzelali Austryacy. Gdyśmy się dowiedziały, że na prawdę mamy jechać, najęło się 2 fury i zebrawszy rzeczy, miałyśmy jechać do pobliskiej wsi; nie chcieli nas posłać z rzeczami, aleśmy wreszcie uprosiły i choć już dniało, puścili nas krętemi drogami. Skoro nas zobaczyli Austryacy, przestali strzelać. Dojechałyśmy do tej wioski szczęśliwie; tu nas przyjęła jakaś kobietka do swej chaty i u niej byłyśmy do 1 września. Troszkę od strzał bezpieczniejsze. Ale 6 tygodni bez księdza, bez kościoła. Wzdychałyśmy do P. Boga, aby nas pocieszył, lecz zdawało się, że nie będzie wyjścia, chybaby się front zmienił. Ale Opatrzność Boska o nas nie zapomniała. Bo oto OO. Dominikanie, dowiedziawszy się przypadkowo o naszej niedoli, przysłali po nas 3 wozy, ofiarując nam u siebie mieszkanie. Był to dla nas prawdziwy cud Opatrzności. Z radością pojechałyśmy do Podkamienia. I naraz znalazłyśmy się w miejscu cudownem. Kiedyśmy od 6 tygodni miały pierwszą

mszę św., muzykę, śpiew, tośmy się serdecznie rozpłakały. Ojcowie Dominikanie przyjęli nas szczerze, życzliwie, wyznaczyli mieszkanie w ochronce ŚŚ. Służebniczek, które nam odstąpiły 1 pokoik i tu mieszkałyśmy 5 miesięcy zajmując się, czem która mogła, pomagałyśmy ŚŚ. Służebniczkom, no, i nie tak udręczone jak przedtem, bośmy miały i pociechę duchowną i powietrze świeże. Lecz i tu tęskno nam było za swojemi Siostrami. Marzyłyśmy wciąż o tem, aby się dostać do Krakowa, lecz nie było sposobu. Aż pewnego dnia dowiadujemy się, że niektóre okopy opuścili bolszewicy. Ludzie z tego korzystając przechodzą na stronę austryacką. Umyśliłyśmy spróbować i my. Zaopatrzywszy się w jakie takie papiery poddaństwa austryackiego, wzięłyśmy tylko swoje ubrania i na dwóch wozach, nas 4 ry, 1 Służebniczka, 1 sierotka nasza wychowanka, i w biały dzień (bo w nocy bardzo rabowali) po uroczystej mszy św. odprawionej na naszą intencyę, pobłogosławione przez wszystkich OO. Dominikanów ruszyłyśmy w drogę. Ponieważ tak wprost nie można było dostać się do okopów, więc ujechawszy 1½ mili zatrzymaliśmy się we wsi Ponikwie. Tu były ŚŚ. Służebniczki; więc do nich udałyśmy się. Ksiądz proboszcz mieszkający u nich, miał nam tę przeprawę ułatwić. Tymczasem pokazało się, że wojsko się zmieniło i tę wyprawę nam utrudnia. Ach wtedy nas desperacya taka opanowała, że poczciwy ten ksiądz nie mógł na to patrzeć. Sprowadził do siebie oficerów austryackich, którzy rozmówiwszy się z nami, przyrzekli nam dopomódz i ułatwić. Nazajutrz raniutko, udałyśmy się piechotą wskazanemi ścieżkami. Wóz z rzeczami i 2-ma Siostrami jechał znów inną stroną. Oficerowie tak jak przyrzekli, czekali na nas, by nam służyć za przewodników i tak ½ mili znowu wędrowałyśmy do okopów natrafiając ciągle na jakieś przeszkody. Gdy już zbliżyłyśmy się do kresu swej podróży, zostałyśmy bardzo grzecznie przyjęte przez Austryaków, którzy nas odesłali do głównej komendy w Podhorcach. Znów 2 mile dalej a tu zimno, bo to 4 lutego. Dojeżdzamy do zamku. Już na nas

czekają, prowadzą do ciepłego pokoju, wszystka starszyzna wyszła na nasze powitanie, każą zaraz przyrządzić obiad, lecz przytem podają nam do wiadomości o ciężkim warunku do wypełnienia t. j. o kwatarannie, tłómaczymy się, jak możemy, lecz wszystko daremne. Na szczęście jawi się pułkownik nasz znajomy, który u nas w Trościańcu mieszkał 9 mieszięcy. Więc użyłyśmy jego protekcyi i temu udało się nas od tego uwolnić. Dali nam kartę wolnej jazdy, zaprowadzili do ŚŚ. Służebniczek na noc, a na drugi dzień odwieźli swemi końmi do Ożydowa. Z jakąż radością zbliżyłyśmy się do Krakowa, a ta kolej jak na złość zdawała się po mału jechać. Gdyśmy już wreszcie wysiadły w Krakowie i ze łzą w oku powitały to miasto ukochane, szukałyśmy oczyma jakiego korneta wśród tłumu, ale daremnie, aż tu przy Rondlu koło tramwaju zobaczyłyśmy Najczcigod. Ojca Wizytatora: byłybyśmy wyskoczyły z fiakra, ale nielitościwy tramwaj pomknął dalej. I już zobaczyłyśmy ukochany Kleparz, Najczcigod. Przełożonych, wszystko to samo. Ta dobroć, miłość, serdeczność jak przedtem, tylko potęgowane radością naszego przybycia, wszak miano nas za już nieżyjące, a my zdrowe, choć tak często na śmierć narażone, szczęśliwe choć przeszły tak wiele. Nie dziwiła nas ta radość, bo znając dobre serce naszych Najczcigod. Przełożonych, pojmujemy jak się pewnie martwili naszą niedolą i polecali Bogu, a On nas nie opuścił i przywiódł szczęśliwie w dom macierzyński. A teraz wraz z nami Bogu dziękują, że się tak nami opiekował i dopomógł przeżyć to wszystko. Teraz widzimy, co może człowiek z łaską Bożą. Niech Mu więc za to będzie chwała, a cześć Niepokalanej Maryi.

Oto w krótkości nasze przejścia wojenne, które Najczcigodniejszej Siostrze Wizytatorce podajemy do wiadomości, pozostając najpokorniejszemi córkami

Siostry Miłosierdzia z Załoziec.

Skałat. *List z 10 grudnia 1917.*

Korzystam z łaski jednej nam życzliwej pani, która chce list ten wrzucić na pocztę, by dostał się do rąk Najczcigodniejszych Przełożonych. Tyle mi się myśli do głowy ciśnie, sama nie wiem, od czego zacząć. Długa przestrzeń czasu i liczne przejścia nagromadziły tematów bez końca. Mieszkamy dotychczas w szpitalu, żyjemy wszystkie i w obecnej chwili jesteśmy dosyć zdrowe. Szpital nasz został zupełnie zrabowany; utrzymało się tylko to, co się znajdowało w naszem mieszkaniu t. j.: dormitarz, kaplica i kuchenka. Resztę ubikacyi zabrano nam. Od końca lipca jesteśmy na własnem utrzymaniu. Pan Bóg opatrzny czuwa nad nami. Przez cały ten czas nie zaznałyśmy braków do życia. W jaki sposób byłyśmy opatrzone i ile gorzkich łez nas to kosztowało, to także tylko Bogu jednemu wiadomo. Przechodziłyśmy straszne chwile, których tu opisać nie mogę; za dużo trzebaby papieru na to. Jednak wyszłyśmy cało.

Dziś, kiedy tylu ludzi przechodzi przez pozycyę, serca nasze się rwą, żeby także pójść, ale poczucie obowiązku nas trzyma na miejscu. Jeszcze jest ta garstka sprzętów szpitalnych i nasze własne rzeczy wiążą nas. Zdaje się nam, budynek szpitalny zostanie ocalony. Inaczej ulegnie, jak tyle innych gmachów zepsuciu. Prawda, że szpital jest zupełnie zrujnowany, ale jest jeszcze dach, co znaczy bardzo wiele na czasy dzisiejsze. Zapasów starczy nam na kilka miesięcy. W obecnej chwili mamy kilka chorych na tyfus, których utrzymujemy ze składek. Biedni ci chorzy! Nie mamy czem wysłać im łóżek, ani w co ubrać, bo szpital nie posiada ani jednej sztuki bielizny, koca, naczyń. Wszystko zabrali nam wrogowie. Strach bierze, gdy pomyślimy, że przyjdzie nam jeszcze długo być w tych warunkach, a nie mamy odwagi tego, co jeszcze jest rzucić i zostawić na zniszczenie. Gdybyśmy mogły choć kilka słów dostać od Najczcigod. Przełożonych! Coby to była dla nas za radość. Wówczas byłabym zupełnie spokojna. Jeśli tylko możliwe, proszę nam przysłać

na ręce Sióstr Tarnopolskich kilka słów a Siostry prześlą jaką okazyą do pozycyi. Z pozycyi może nam ktoś doręczy. Wtedy będę wiedziala, co robić. Tęskno nam za kochanym domem centralnym, za słowem od Najczcigod. Przełożonych, wogóle za wszystkiem. Jesteśmy już 4-ty rok pozbawione wszystkiego.

Kończę już polecając naszą małą rodzinę pamięci i sercu Najczcigod. Siostry Wizytatorki i t. d.

Skałat. *15 stycznia 1918.*

Z największą przykrością dowiedziałzśmy się, że list od Najczcigod. Przełożonych został zgubiony najprawdopodobniej przez posłańca. Ogromnie nam przykro, robimy starania o niego, niewiemy jednak czy go odnajdziemy, i tej pociechy mieć nie mamy. Modlę się do św. Antoniego, może On go nam wyszuka.

Proszę najpokorniej Najczcigod. Siostry o napisanie drugiego listu, a Ś. Wytyk poproszę, by go wysłała na ręce p. Premingera w Skalacie, wtedy z pewnością list nas dojdzie, jestto kupiec, który ma szerokie interesa, dużo listów wysyła i odbiera. Tak mi smutno z utraty listu, miał on być naszą pociechą w naszej samotności.

W szpitalu chorych nie mamy, nie było środków na ich utrzymanie, za to Siostry chodzą po mieście odwiedzać chorych, zanoszą im lekarstwa, mamy trochę zapasów zostawionych nam przez Ziemski sojusz. Głodu nie cierpimy tylko zimno; na dormitarzu mamy nieraz 2 stopnie ciepla; z powodu braku opału nie możemy opalać dostatecznie; duży dormitarz; mieszkamy stale w kuchence, tam przynajmniej nam ciepło.

Budynki szpitalne jeszcze istnieją, z żalem widzimy jak inne domy się rozbierają, oby Bóg pozwolił, aby te ocalały, tylko mury, bo reszta zniszczone. Dzięki Bogu jesteśmy zdrowe, apetyt mamy szalony, może dlatego, że drożyzna; jeszcze mamy trochę zapasów żywności i grosza, zresztą Bóg opatrzny nie pozwoli byśmy miały zginąc. Tylko bardzo nam smutno i tęskno za słowem od Najczcigod. Przełożonych, za reko-

lekcymi wogóle za wszystkiem. Ufamy, że Bóg wynagrodzi nam kiedyś ten zupełny brak pociech duchowych, że i dla nas przyjdą lepsze czasy. Przeżyłyśmy dużo przez te 3 lata, nieraz zdawało się nam, że wszystko stracone, że będziemy się musiały tułać po obczyźnie, jednak Bóg wyprowadził nas i ocalił; z strasznej potwarzy wyszłyśmy honorowo. Z szpitala wszystko zabrano, jednak Bóg został z nami w naszej kapliczce, otóż najlepszy dowód, że nas kocha.

Skałat. *5 lutego 1918.*

Najserdeczniej dziękuję wraz z Siostrami za list pisany 23 grudnia, obrazeczki i za każde słowo! czytałyśmy z łzami w oczach ten drogi nam list, była radość w domu nie do opisania. Odpisałam zaraz na niego, niewiem czy Najczcigod. Siostra Wizytatorka go odebrała? Ten list powinien dojść do swego przeznaczenia bo idzie przez dobrą i pewną okazyę.

Pan Jezus swoich wybranych nawiedza różnymi krzyżami, nas także Bóg ukochał, bo nam co raz to nowe cierpienia zsyła. Gdy 31 stycznia wychodziły resztki sławnego pułku (z rabunków) z Skałatu i naszego szpitala, znalazło się między nimi i kilku takich, którzy postanowili nasz dom spalić. Ogień wybuchnął na jednej sali na I piętrze, zajęły się zaraz belki na strychu, szczęście, że było to we dnie, dano nam znać że się palimy, przy pomocy kilku panów obeznanych dobrze z ogniem i innych poczciwych ludzi zlokalizowano ogień po 2 godzinach, myśmy nasze rzeczy miały już w sąsiedztwie, wszyscy rzucili się nam na pomoc i nic nam nie zginęło, wszystko mam z powrotem oprócz Pana Jezusa, który dopiero za kilka dni do nas przyjdzie, gdyż musi być najpierw dach naprawiony. Straszne przeżyłyśmy chwile, ale niech będą Bogu Najwyższemu dzięki za to. Budynek nie ucierpiał wiele, zniszczona jest tylko (przez sam pożar) jedna sala i nakrycie, to się już naprawia, szczęście, że ogień był na drugim końcu budynku. Nie możemy się zdecydować na wyjazd stąd, bo znaczy to zostawić wszystko na pastwę;

w tygodniu nie byłoby już budynków; prawda, że i tak nie wiemy jak się to jeszcze skończy, ale niech my nie mamy na sumieniu, że przez naszą winę się źle stało. Głodu nie cierpimy, trochę zimna bo po 2 stopnie ciepła mamy na dormitarzu, trudno, cierpią inni możemy i my, przyjdzie i dla nas lepszy czas, tak mocno ufam, że Bóg nas pocieszy. Noce są straszne, powtarzają się rabunki, kradzieże, nam ogromnie nieswojsko w tym dużym, pustym i brudnym gmachu, wprawdzie pół przez nas zamieszkany, a pół mamy zamurowany, ale cóż to znaczy? pocieszamy się z dnia na dzień nadzieję oglądania swoich; coraz to inne wieści krążą, dla nas nie wróżące nic dobrego.

Dzięki Bogu, że się dobrze trzymamy, jesteśmy zdrowe. Siostry chodzą do chorych w mieście i w domu udzielają chorym pomocy, w szpitalu nie mamy chorych. Byłoby dużo do pisania, jednak nie pora teraz.

Tarnopol. *10 maja 1919.*

Z końcem marca z. r. pisałam list do Najczcigod. S. Wizytatorki, niepewna jestem czy doszedł? dla pewności powtórzę mniej więcej treść tamtego listu.

Od 6-go marca mieszkamy w Tarnopolu u Sióstr, zmuszono nas do opuszczenia szpitala skałackiego. Jest nam tu dobrze. S. Jadwiga zajęta w kancelaryi, S. Wincenta przy chorych a ja pomagam wszędzie. Siostra Krawczyk zastępuje chorą Siostrę w Brzeżanach, obecnie leżą tam jeszcze 2 Siostry na tyfus plamisty. Dzięki Bogu jesteśmy wszystkie zdrowe, tylko tęskno nam za słowem od Najczcigod. Przełożonych. Siostra Leszczyńska umarła 27-go lutego na tyfus plamisty a także nasz zacny Dyrektor. Kończąc tych kilka słów proszę, by one doszły szczęśliwie do rąd Najczcigod. Siostry Wizytatorki.

Kołomyja. *21 sierpnia 1917.*

Niewiem jak zacząć i od czego, tak się jakoś żdziczało przez ten długi czas, że nawet trudność się czuje w pisaniu,

chciałabym, na skrzydłach polecieć i wygadać się ze wszystkiem, aż na Kleparz, tak się cieszymy, że ta ciężka niewola się skończyła. Przechodziłyśmy różne tarapaty, niedające się porównać z pierwszą inwazyą, a do tego ta tęsknota za Swojemi, byłyśmy same jak zwykle, pan Dyrektor nas opuścił, inni lekarze na wojnie. Przez cały czas mieliśmy chorych cywilnych do 200. Od czasu odwrotu Rosyan jest szpital wojskowy. Chorzy sami ranni, dosyć dużo. Oddychamy innem powietrzem pomiedzy swojemi! Miasto dosyć zniszczone przy odwrocie, miejscami spalone i zrabowane porządnie. I szpital nie uszedł rabunku, Opatrzność Bożą na każdym kroku widzimy. Pomimo różnych strachów i wielkiego zdenerwowania, dzięki Bogu, Siostry dosyć dobrze się trzymały ze zdrowiem, czego się najwięcej obawiałam. Jaki Bóg dobry; 5-ty rok doświadczeń, to wystarczył za kilka lat rekolekcyi. Tylko do Boga udawałyśmy się o pomoc, bo widziało się ogołoconym z wszelkiej ludzkiej pomocy. Trzeba było wielkiej roztropności. Codziennie Boga o to prosiłam najwięcej dla Sióstr i dla siebie. Tak nam zalecał Feldkurat przy pożegnaniu się z nami, kiedy zostałyśmy same. I rzeczywiście doznałam tego w ciężkich chwilach, jakieśmy przechodziły. Z tą Bożą pomocą, na każdym kroku wspierała nas zapewne modlitwa Naszych Drogich Przełożonych i tylu Sióstr, że się nie upadło pod ciężarem krzyża.

Kołomyja. *22 sierpnia 1917.*

Z wielką radością przyjęłyśmy drogą wiadomość, że będziemy mogły przywitać Najczcigodniejszą Naszą i Drogą nam Matkę, po tak długiem osieroceniu, oddając się pod Jej troskliwą opiekę. Z naszej strony będziemy się starały, być zawsze posłusznemi, i wiernemi wszelkiem zaleceniom. Doznałyśmy teraz przez ten długi czas rozłączenia się, jak ciężko żyć zdala od Najczcigod. Przełożonych i samym, zdawał się ten rok latami.

Bóg dobry zlitował się nad nami i że nas wyswobodził, bo to była prawdziwa niewola, nie da się porównać

z przeszłą inwazyą. Szpital został zrabowany, zaraz przy wejściu Rosyan, miasto przy odwrocie. Niebyło prawie domu któryby niesplądrowali i zrabowali doszczętnie, miejscami i popalono, największe magazyny. To też strachu użyłyśmy przy tym odwrocie, nerwy dziś jeszcze drgają. Teraz bieda, drożyzna i brak wszystkiego. Ufajmy Opatrzności Bożej. Jeżeli Bóg dotąd nas zachował i czuwał nad nami, nie możemy wątpić i nadal w Jego dobroć.

Pisałam do Krakowa, zaraz jak była pierwsza poczta, dając znak życia o nas. Paszporty teraz wyrabiają się w Śniatynie. Podobno trudności są z jazdą, jednakże prosimy i oczekujemy Najczcigod. Matkę. Na razie mamy jeszcze dużo pracy. Jest szpital wojskowy, to niemożemy się nigdzie wyruszyć. Mają opróżnić go dla chorych cywilnych. Jest nas obecnie 6 Sióstr. Dwie wyjechały przed inwazyą. Przy różnych kłopotach i pracy jako tako przy zdrowiu jesteśmy.

Kołomyja. *2 września 1917.*

Kartkę dzisiaj odebrałam. Serdecznie dziękujemy za współczucie dla nas Najczcigod. Matki. Miałam zamiar pojechać do Lwowa, widzieć się z Najczcigod. Przełożonymi. Myślałam że mi się uda, z przepustką jako Kriegs-Schwester, ale nic z tego. Wielkie trudności z temi przepustkami. Trzeba wyrabiać dwa tygodnie, ażeby do Lwowa na dwa dni pojechać. Mam zamiar posłać dwie Siostry na rekolekcye. Teraz donoszę o zmianach, jakie zaszły u nas w tym tygodniu, bo my teraz żyjemy od befelu. Coraz inny befel, tak cały czas wojny ciągle się przenosimy, wyprowadzamy z miejsca na miejsce, jak cygani. Tak nam się ta wojna dała we znaki. Pocieszamy się, że to nie my same cierpimy, ale świat cały. Otóż sprowadził się do nas szpital wojskowy epidemiczny, ma być 700 chorych. Mieli zabrać cały szpital a nas zupełnie usunąć z choremi cywilnymi na miasto. Byłyśmy tak przygnębione, że to przechodziło poprzednie zgryzoty. Interpelowałam na wszystkie strony c. k. Starostwo, Wydział, fizyka, burmistrza. Odniosło to ten skutek, że zo-

stawili nas na jednej mniejszej połowie z chorymi cywilnymi a reszta już jest epidemiczny. Dzięki Bogu zostawili nam kaplicę. Ale za to mieszkamy na sali chorych, gdzie przedtem była gruźlica, gangreny i t. p. Mają nam robić dezynfekcyę i bielenie. Na razie to było niemożliwe, gdyż w trzech godzinach trzeba się było usunąć. Cóż robić; wojna, wola Boża i befel. Naszego p. Dyrektora jeszcze nie ma do tej pory i same tak się musimy ugryzać, przyjedzie na gotowe. Tak z tymi panami, gdzie najwięcej potrzeba pomocy, tak ich niema. Na razie mamy mało chorych a dużo pracy koło porządku, bo wszystko strasznie zanieczyszczone jeszcze po Moskalach, a tu ciągle jedno na drugie zjeżdża. Odkąd nasze wojska wróciły, jest już 4-ty szpital. Ten teraz zdaje się na długi czas zostanie, ogromne urządzenia mają, to nie na krótki czas.

Bardzobyśmy się ucieszyły przywitać u nas Najczcig. Matkę; miałyśmy takie ładne nasze pomieszkanie, a teraz brudy same, ale Córki te same i pragną przybycia Najczcig. Matki; wiem dobrze, że tyle innych domów wyczekuje, a tu takie trudności z jazdą.

Kronika.

Erie, wyjątek z listu X. Głogowskiego.

Erie, Pa., 4 września 1919.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

List z 14-go sierpnia otrzymałem dzisiaj i wielce się ucieszyłem, że już wszystkie domy nasze są w komunikacyi z X. Wizytatorem. Chwała Bogu, że Konfratrzy żyją, najwięcej się trapiliśmy brakiem wieści z Jezierzan Obawialiśmy się o życie tamtejszych Konfratrów wobec przerażających wieści z gazet, jak Hajdamaki postępowały z Duchowieństwem na Wschodzie!

List ostatni pisałem na prędce, bo miałem wiadomość, że okręt z Nowego Yorku odchodzi do Francyi za dwa dni. Nie było czasu na obszerniejsze sprawozdanie, które zamierzałem przesłać tak, aby je X. Wizytator odebrał w czasie konwentu. Będę się starał treściwie podać najważniejsze rzeczy, aby X. Wizytator miał kompletny obraz bodaj w zarysie naszego stanu.

Kolegium rozwija się normalnie choć powoli stosunkowo. Zeszłego i zaprzeszłego roku mieliśmy mniejwięcej równą ilość studentów około 80-ciu. Na ten rok zapowiada się trochę więcej, sądzę, że conajmniej będzie 90-ciu. Rok ubiegły szkolny już trzeci był z rzędu, w którym wypuściliśmy na szeroki świat naszych wychowanków i choć to nie jest Zakład wyłącznie wychowujący kandydatów do stanu duchownego, to jednak większość naszych abituryentów

udaje się do seminaryów duchownych. Mamy także kilku na świeckich wydziałach po różnych uniwersytetach i z chlubą patrzymy na postępy naszych wychowanków, czy w seminaryach czy w uniwersytecie są zawsze między pierwszymi, a co najważniejsza, sprawiają się nienagannie. Nie pracujemy więc na próżno. I dla Zgromadzenia także dorobiliśmy się dochowku: mamy obecnie dwóch w seminaryum w Germantown. Jeden skończył filozofię w Niagara i w tym roku poszedł do nowicyatu, drugi skończył u nas studya w zeszłym roku, poszedł do Fordham Uniwersity w Nowym Yorku, tam zaciągnęli go do armii, a gdy nastąpiła demobilizacya, prosił mnie, aby mógł odrazu rozpocząć nowicyat, a potem dalsze studya filozofii i teologii. Rozpoczął nowicyat 21 lutego i zacny X. Wizytator Mc. Hale, znając trudne nasze położenie, zgodził się przyjąć każdego kandydata do Zgromadzenia, choćby aż do wyświęcenia, jeśli się nie da wysłać ich do kraju. Na przyszły rok wysyłam do seminaryum trzeciego kandydata, który w czerwcu skończy u nas naukę. Jestto słowak, który doskonale nauczył się po polsku i będzie kiedyś pomocą dla naszych misyi. W tym roku zgłosił się czwarty kandydat, ale idzie dopiero do klasy czwartej, zatem jeszcze ma dwa lata do ukończenia. Mamy bowiem pięć klas i jedną wstępną dla tych, co nie ukończyli 8-miu stopni szkoły normalnej. Opłata roczna była pierwotnie $ 200, ale od zeszlego roku zmuszeni byliśmy z powodu drożyzny podnieść na $ 250, a w tym roku dodałem do tej sumy $ 20 rocznie za pranie, bo było nam troszkę ciężko.

Oczywista, że ze samej opłaty szkolnego nie mogliśmy opędzić wszystkich wydatków. Mamy tu wydawnictwa swoje książek, których w czasie wojny nie mogliśmy sprowadzić z kraju. Zrobiliśmy mianowicie przedruk naszego Śpiewnika, który rozchodzi się mniejwięcej w 10.000 rocznie, i Manualika „Dzieci Maryi“, wydanie grubsze; rozchodzi się go rocznie około 500. Dalej ułożył X. Konieczny z pomocą innych Konfratrów „Książeczkę do I. komunii św.“, która zaczyna się rozchodzić coraz więcej. Najwięcej jednak rozchodzi się

„Pamiątka Misyi Św. A że już wspomniałem o wydawnictwach, więc muszę z kolei wspomnieć także o „Skarbie Rodziny“, nąszym miesięczniku. Założyliśmy go na naleganie wielu XX. Proboszczów, bo dał się tu odczuć dotkliwy brak katolickiego miesięcznika popularnego. W pierwszych paru miesiącach liczba prenumeratorów wynosiła około 7.000, a po roku mieliśmy ich już 15.000. Teraz przybywa rocznie około 3.000 nowych, tak że obecnie bijemy 22.000. Redaktorem jest X. Konieczny, kasyerem X. Król, zarządcą X. Binna, sekretarzem X. Tyżyński, a pomocnikiem redaktora jest jeden z profesorów świeckich. Artykułów historycznych dostarcza X. Włodarczyk. Przytem wydajemy co rok „Kalendarz misyjny“, który się rozchodzi w 20,000, a w tym roku pewnie dojdzie do 30,000, bo pozawieraliśmy kontrakty z rozmaitemi księgarniami polskiemi.

Farma nasza trochę się uszczupliła, bośmy zagrodzili duży szmat ziemi na ogród, park i pole zabawy dla chłopców. Uprawiamy swojego gruntu mniejwięcej 70 akrów, a wynajmujemy blisko 150 akrów, za opłatą 160 dolarów rocznie. Mamy obecnie tylko parę koni, a mieliśmy przez jakiś czas 2 pary. Dwa nam padły, jeden zeszłego roku, drugi w tym roku i postanowiłem nie kupować więcej koni, a za to sprawiłem traktor, który w robocie zastąpi trzy pary koni, a znacznie tańszy w utrzymaniu. Krów dojnych mamy zwyczajnie ośm do dziesięciu, stare bijemy i uzupełniamy swoim dochowkiem. Świń trzymamy około trzydziestu i więcej. Na farmie uprawiamy zboża, kukurydzę, kartofle i jarzyny wszystkie. Wielka część, bo przeszło 20-cia akrów na siano dla bydła i koni. Drobiu trzymamy tyle, że nie potrzeba kupować jaj.

List X. Józefa Górala z Brazylii do Przewieleb. X. Wizytatora.

Rio Vermelho, 1 stycznia 1920.

Przez wybuch wojny światowej, zostaliśmy odcięci, zwłaszcza od drugiego roku jej trwania, od Ojczyzny naszej

i kochanego Zgromadzenia w niej osiadłego. O śmierci nawet naszych Konfratrów dowiedzieliśmy się dopiero z rocznego wykaz zmarłych, jaki załącza się do noworocznego okólnika Przewieleb. O. Generała. Spodziewamy się, że „Roczniki Obydwóch Zgromadzeń" podają z pięciu ostatnich lat, ważniejsze zmiany i zdarzenia, jakie zaszły w naszej prowincyi polskiej. Z naszej strony podam Przewieleb. X. Wizytatorowi niektóre szczegóły z południowych Stanów brazylijskich, zamieszkałych przez lud polski, wśród którego przebywamy i pracujemy.

* *
*

Już w pierwszych dniach wojny europejskiej podskoczyły w naszych koloniach i miasteczkach w cenie artykuły żywności zwłaszcza mąka pszenna i żytnia i wszystkie produkta importowane z innych Stanów lub krajów. Kolonistom naszym dało się to bardzo odczuć, gdyż przez cztery poprzednie lata nie udawała im się pszenica i żyto, które zaraza jeszcze przed wypuszczeniem źdźbła niszczyła. Najwięcej cierpieli na tem koloniści polscy, gdyż uprawa roli w Paranie niemal wyłącznie do nich należy.

Dotkliwiej przecież drożyzna odczuwać się dotychczas daje klasie ludności uboższej, wyrobnikom i rzemieślnikom zamieszkałym w miastach i miasteczkach brazylijskich. To też było głównym powodem, że wśród pracującej warstwy ludu w miastach pojawiały się raz poraz różne strajki, które jednakże dopiero w bieżącym roku dostatecznie uwzględniono skracając czas pracy i podnosząc dzienny zarobek z powodu istniejącej dotychczas drożyzny artykułów spożywczych.

Nie tylko Brazylianie, lecz niemal wszystka ludność napływowa, z wyjątkiem naturalnie niemieckiej, sympatyzowała w czasie wojny światowej z aliantami, mimo początkowo urzędowo ogłoszonej neutralności. W stolicy Brazylii, w Rio de Janeiro zawiązała się nawet liga „pelos aliados", popierająca interesy aliantów i stojąca w ich obronie. Niemieccy osadnicy używali jednakże wszystkich praw i swobody,

chociaż często zbyt drastycznie objawiali swą radość z powodu klęsk aliantów. Niebawem położenie się ich zmieniło zupełnie.

Nury niemieckie zatopily w pobliżu Francyi jeden z największych przewozowych okrętów brazylijskich „Paraná“. To było powodem do zerwania stosunków dyplomatycznych między brazylijskim a niemieckim rządem. Kiedy nury niemieckie zatopiły niebawem dwa inne okręty brazylijskie, zajęła Brazylia wszystkie niemieckie okręty w liczbie 45, znajdujące się w tutejszych portach.

Zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem niemieckim miało dla Niemców w Brazylii nader smutne następstwa.

Nie zadowolono się już obecnie manifestacyami, pochodami i ognistemi mowami, wśród zebranych tłumów po miastach w południowych Stanach, gdzie Niemcy się osiedlili, lecz dopuszczano się czynnych napadów, podpaleń sklepów i domów niemieckich. Najwięcej ucierpieli Niemcy zamieszkali w stolicach Stanowych jak w Sao Paulo, Kurytybie, Porto Alegre, gdzie policya stawała się bezsilną a trzeba było wezwać na pewien czas pomocy wojskowej dla stłumienia rozruchów i uspokojenia wzburzonego ludu.

W Kurytybie tłum nie oszczędził i redakcyi „Gazety Polskiej w Brazylii“, będącej własnością OO. Werbistów, a broniącrj stale polityki i interesów rządu niemieckiego. W późniejszym czasie została nawet zawieszoną.

Nauka dana tym butnym Niemcom nie poszła w las: ich buta i zarozumiałość znacznie zmalała. Wielu z nich zmieniło swe niemieckie firmy handlowe i nazwy na brazylijskie; umieją też niemal wszyscy rozmawiać nie tylko po portugalsku, lecz nawet i po polsku lub przynajmniej mowę naszą rozumieją...

Największą może karą, jaka spotkała tutejszą niemiecką ludność, było usunięcie księży niemieckich, a mianowanie portugalskich lub włoskich, którzy jej języka nie rozumieli, a więc i obsłużyć ją należycie nie mogli. Gdzie się znów

utrzymał jaki niemiecki ksiądz w parafii, nie wolno mu było w kościele w języku niemieckim kazania głosić ani dzieci katechizować.

Wielką to było karą dla niemieckich księży i katolików, a po części wcale niezasłużoną.

Zazwyczaj agitatorzy lub szowiniści, mający z dawniejszych czasów jakąś niechęć lub urazę do swych proboszczów korzystali z dogodnej sposobnośki, boć dobrze w mętnej wodzie ryby łowić. Pisywali przeto różne artykuły na księży niemieckich, a niechętnie poczęli już patrzeć na wszystkich obconarodowych, podburzali przeciw nim lud brazylijski wysyłali do XX. biskupów telegramy ze skargami. Księża biskupi, wrażliwi na opinię publiczną, chcąc uchodzić za dobrych patryotów, usuwali bez przesłuchania niemieckich księży, bez przekonania się o prawdzie, często nawet nie listownie, lecz telegraficznie, niby dla „świętego spokoju"...

Stan taki nienormalny trwał jednakże stosunkowo niedługo, przeszło rok, do podpisania warunków zawieszenia broni. Nastąpiła potem refleksya; chwilowe uniesienia mijały; wracać więc poczęli i księża niemieccy z małemi wyjątkami, na dawne swe stanowiska z wielkiem zadowoleniem swych parafian.

Lud polski i księża, żyją w zgodzie i jedności z Brazylianami, to też nie mieliśmy w czasie wojny światowej żadnych przeszkód ani trudności. Owszem Polacy sympatyzują z narodem brazylijskim, jedni biorą udział w obchodach narodowych drugich. Gdy brazylijski minister spraw zewnętrznych oświadczył się za przykładem Wilsona, za całą i niepodzielną Polską, przysłali mu tutejsi Polacy liczne telegramy z podziękowaniem.

Jedna jednakże sprawa w Stanie St. Catharina wywołała nieporozumienie i zaniepokoiła tutejsze kolonie polskie.

Wskutek zawieszenia konstytucyi w południowych Stanach brazylijskich poczynił rząd federalny różne ostrożności i ograniczenia względem tutejszych niemieckich osadników. W pierwszych dniach po wypowiedzeniu wojny Niemcom

przesłano z Rio telegraficzny nakaz zamknięcia wszystkich szkół niemieckich. W naszym zniemczonym Stanie St. Catharina przekręcono, czy też umyślnie zfałszowano rządowy telegram nakazując zamknięcie wszystkich szkół cudzoziemskich, a więc polskich, nawet włoskich, francuskich i angielskich; podobny rozkaz byłby nielogicznym, owszem wrogim dla aliantów, po których stronie Brazylia stanęła w wojnie z Niemcami, a tutejszą ich ludność krzywdziłaby przez zamykanie ich szkół ludowych.

Stan taki jednak nie trwał długo. Na liczne protesty i petycye wydał nasz gubernator pozwolenie na otwarcie szkół prywatnych obcej narodowości, z wyjątkiem niemieckiej i to pod kilku warunkami: każda szkoła prywatna ma posiadać nauczyciela, któryby biegle władał językiem rządowym, portugalskim w słowie i piśmie; ma on dzieci uczyć tego języka według przepisanych podręczników, nadto historyi i geografii Brazylii, jako też śpiewów narodowych brazylijskich. Rządowy inspektor ma prawo kontrolować szkoły prywatne, czy się w nich postępuje według przepisów, a wrazie nie zachowania ich, może je natychmiast zamknąć.

Na podstawie powyższego pozwolenia otworzono na nowo wiele szkół prywatnych; inne jednakże nie posiadające nauczyciela władającego językiem portugalskim zostały nadal zamknięte, między nimi wiele polskich szkółek rozrzuconych po koloniach.

Przez powyższe ograniczenia utrzymywania szkół prywatnych, zrobiono wielkie trudności naszym szkołom polskim między obcą narodowością rozproszonym, które zdobyć się nie mogą na jakiegobądź nauczyciela, a tymczasem rząd Stanowy wymaga od niego dokładnej znajomości języka portugalskiego w mowie i piśmie.

Spodziewać się jednak możemy, że te przepisy nie zostaną w praktyce dokładnie przestrzegane lub wogóle zostaną tylko na papierze.

W Paranie inaczej rozumiano i tłumaczono urzędowy telegram. Rozkazano zamknąć tylko niemieckie szkoły, inne

nadal były czynnemi. Jednakże inspektorzy szkolni także pokazywali swe grymasy, nakazywali zamykać niektóre polskie szkoły pod pozorem niedostatecznego uwzględnienia języka portugalskiego w nauce.

Szkołom polskim w Paranie zagrażało przecież inne wielkie niebezpieczeństwo.

W Stanowym kongresie parańskim wniesiono w czasie wojny projekt, żeby we wszystkich prywatnych szkołach cudzoziemskich uczono dzieci w języku krajowym, to jest portugalskim, a język ojczysty obcej narodowości brano tylko jako przedmiot nauki, kilka godzin tygodniowo. Projekt ów zmierzał przedewszystkiem przeciw polskiej ludności, której w Paranie jest stosunkowo najwięcej z pośród obconarodowych emigrantów.

Gdyby wspomniany projekt istotnie uchwalono i w życie wprowadzono, to lud nasz w Paranie znajdowałby się w trudnem położeniu. Wtedy polska szkoła, to znaczy szkoła zbudowana i utrzymywana przez Polaków, stałaby się pierwszym i najlepszym środkiem do wynarodowienia polskiej dziatwy, do zbrazylizowania jej w krótkim czasie lub, coby korzystniejszem było, należałoby ją zupełnie zamknąć. Cios ten byłby dla nas tem boleśniejszym, że naród polski żył tu zawsze w zgodzie i przyjaźni z Brazylianami, a niektóre szowinistyczne jednostki rzucają zarzewie niezgody między obydwa narody.

Dobrze pojęli i zrozumieli zagrażające niebezpieczeństwo Polacy tak w Kurytybie, jako i w koloniach. Towarzystwa polskie wysłały delegacye do prezydenta Stanów, któremu przedłożyły jasno i otwarcie krzywdę takiego projektu, gdyby go uchwalono i faktycznie zastosowano.

W obronie naszej stanął brazylijski, kurytybski adwokat, Dr. Gustaw Faria, który w dzienniku „Diario de Parde“ (Dziennik wieczorny) w artykule pod napisem: Dusza polska ma dosyć powodów, aby być wrażliwą — powiada: że Polacy nie wyrzekli się nigdy odzyskania utraconej niepodległości

kraju, pragnęli na wolnej ziemi amerykańskiej pielęgnować swój język ojczysty i zwyczaje narodowe, tymczasem i tutaj ich spotyka nowy zawód...

Na powyższy artykuł odpowiedział Dr. Szymon Kossobudzki, profesor uniwesytetu kurytybskiego, w długim otwartym liście drukowanym w „Commercio do Parana“ wyłuszczając wszystkie powody, które przemawiają przeciw takiemu, lud polski krzywdzącemu projektowi. Również Dr. Juliusz Szymański, także profesor wspomnianego uniwersytetu przemawia w liście otwartym do posłów kongresu parańskiego, wskazując na swobodę i wolność, jakiej używają w szkołach ludy Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, a przecież są lojalnymi i dobrymi obywatelami, co się właśnie w czasie wojny pokazało. Z drugiej strony przypomina Dr. Szymański posłom smutne następstwa, do jakich doprowadził w Prusach i Rosyi, ucisk szkolny na polskim narodzie wywarty.

Dzięki właśnie staraniom polskich Towarzystw i wspomnianych dwóch profesorów uniwersytetu kurytybskiego, zażywających wielkiej powagi między Brazylianami, krzywdzący lud polski projekt w sprawie nauki w szkołach prywatnych upadł, zdaje się na czas dłuższy lub na zawsze. Zresztą we większych, liczniejszych szkołach polskich, uczono zawsze języka krajowego, portugalskiego, który dla naszego ludu jest wielce pożytecznym, a często wręcz niezbędnym.

Szkoły polskie zostające pod naszą opieką nie doznały, dzięki Bogu, żadnej przeszkody w nauczaniu. Inspektor rządowy objeżdżał i wizytował niektóre püPbliczne szkoły, lecz do polskiej nie wstąpił. Zdaje się, że te przepisy rządowe zwrócone są przedewszystkiem przeciw szkołom niemieckim. W październiku b. r. (1919) ponowiono je i polecono sumiennie przestrzegać. Gazety niemieckie twierdzą, że to ponowne rozporządzenie odnosi się wprost przeciw niemieckim szkołom rozrzuconym koło miast Blumenau i Joinville, jakie otworzono bez uprzedzenia o tem rządu Stanowego.

Mamy szczególny obowiązek podziękować Panu Bogu za ojcowską opiekę, jaką otacza nas i lud polski na ziemi brazylijskiej.

Polecam naszą pracę pobożnym modlitwom Przewielebnego X. Wizytatora i zostaję w miłości Najświętszych Serc Jezusa i Maryi Niepokalanej — Jego oddany sługa

New Haven, Conn. *10 lipca 1919.*

Ł. P. N. J. Chr. n. b. z. zn.!

Najprzewielebniejszy Księże Wizytatorze!

Serdecznie dziękuję za list i pamięć o imieninach. List sprawił nam wielką radość, bo był to pierwszy po długiej przerwie. Co się w kraju dzieje, wiemy z gazet angielskich i polskich. Cieszymy się niepodległą i wolną Polską. Bogu dzięki, że jesteście wszyscy zdrowi i my również wszyscy żyjemy i pracujemy po dawnemu.

XX. Tyżyński, Słupiński, Sadowski jeżdżą po misyach, rozrywani są na wszystkie strony. Reszta nas pracuje w Erie i po parafiach. X. Janowski wstąpił do wojska Generała Hallera. Uczynił to na życzenie X. Biskupa Rhodego, który prosił X. Głogowskiego o kapelana. Koleje swego życia z pewnością w swym liście opisał.

Nie wiem, czy Przewielebny Ksiądz Wizytator otrzymał moje listy. Jeden posłałem 6 tygodni temu. W New Haven wiele się zmieniło od odstatniego pobytu X. Wizytatora. Kupiłem od owego czasu 4 domy. Długu mamy na parafii 1.000 dolarów. Obecnie restauruję dom nowy dla Siόstr. Będą miały 21 pokoi, trzy łazienki i wielką pralnię w piwnicy. Bardzo się cieszą z nowego domu, gdyż w starym było za ciasno i spać musiały nawet na poddaszu. Siόstr obecnie 10 Miejsce na szkołę mam, trzeba jednak z budową zaczekać. Za budynek kosztujący dawniej 60.000 dolarów dziś płaci się 200.000. Drożyzna niesłychana. Życie kosztuje nas trzy razy więcej niż dawniej. Dochody osobiste zmniejszyły się.

Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo ze względu na młodsze pokolenie. Szowiniści amerykańscy, między nimi nawet biskupi i kapłani irlandzcy pracują nad wyrugowaniem języków obcych ze szkół parafialnych. Jest to zamach zarazem na język polski. Motywują tem, że obce języki przeszkadzają gruntownemu wyuczeniu się języka angielskiego, wogóle amerykanizacyi.

Także wiele nacierpieliśmy się ze strony żydów. Urządzali w całej Ameryce wiece protestacyjne przeciw rzekomym pogromom żydów w Polsce. Zapraszali na te wiece księży irlandzkich, którzy pomagali im psioczyć przeciw Polsce. W New Haven maszerowali przez miasto z czarnemi krepami na ramieniu, kapela przygrywała marsza Szopena, nosili napisy w wysokim stopniu ubliżające Polakom. Chcieli nas zdyskredytować w oczach świata, ale im się nie udało. Ponieśli prawdziwy pogrom w Washingtonie, dokąd pojechali, by senat odwołał niepogległość Polski; mianowicie tego samego dnia przyszła depesza od p. Gibsona, ministra amerykańskiego w Warszawie, że pogromów w Polsce nie było. Kazano im pójść do domu i nie wierzyć fałszywym wieściom pochodzącym ze źródeł niemieckich. Ta propaganda żydowsko-niemiecka nam bardzo pomogła, bo otworzyła nam oczy na sprawę żydowską. Dziś polskie sklepy prosperują, bo swój do swego chodzi, a żydki bankrutują. Nosili żałobę na ramieniu, dziś ją mają w kieszeni i krzyczą: waj mir die miszugen Polaken machen pogromes mit die Jüden hier in Amerika. Był u mnie rabin największej synagogi w New Haven, pytając się, czy to prawda, że z ambony w kościele zakazałem ludziom u żydów służyć i kupować. Odesłałem go z kwitkiem. Zakładają się teraz wszędzie korporacye handlowe polskie, byle tylko żydom nie dać polskiego grosza. I w Polsce nowej zróbmy z nimi porządek. Nie mordować, nie prześladować, ale nie kupować ani za centa. Wyniosą się do Palestyny prędzej, niż się spodziewamy.

W czasie wojny zarabiali ludzie niesłuchane sumy. Pracowali dniem i nocą, fabrykując amunicyę i wszelkie inne

materyały wojenne. Po podpisaniu rozejmu nastąpiło wielkie bezrobocie. Ludzie całe miesiące chodzą bez roboty. Pieniądz zarobiony prędko się im rozchodzi, drogie renty, drogie szaty, droga żywność, trzy razy tyle trzeba za wszystko płacić. Samo utrzymanie domu kosztuje miesięcznie do 150 dolarów choć nas tylko troje osób.

W czasie wojny, zwłaszcza po ogłoszeniu przez Wilsona wolnej i niepodległej Polski pracowaliśmy wszyscy gorączkowo dla Polski! Urządzaliśmy wiece, przemawialiśmy z ambony, zachęcaliśmy na każdym kroku lud do niesienia pomocy Polsce. Z mojej parafii wstąpiło 100 do armii Hallera, w ciągu pięciu lat zabrałem 35.000 dolorów na sprawy ojczyste. Ludzie prześcigali się w ofiarności dla Polski.

Przyjmowałem polskie misye wojskowe z Francyi. Między innymi był w naszym domu potomek ostatniego króla polskiego, książę Poniatowski, porucznik armii polskiej. Był też Wacław Gąsiorowski, powieściopisarz. Kapitan Grodzki, major Kozłowski i jeszcze inni. Bogu dzięki, że nasza praca nie poszła na marne.

Co się tyczy konwentu zdaje się, że nikt z nas nie pojedzie. Dotychczas nie wybraliśmy jeszcze żadnego delegata. Nasz dom w New Haven zrzeka się prawa pojechania.

Przyjazd księdza Wizytatora do Ameryki bardzo pożądany. Będzie wiele spraw do załatwienia. Potrzeba nam księży do kolegium, na misye i pracy parafialnej.

Tyle na razie piszę. Jeszcze raz Bóg zapłać za list. Wszystkich pozdrawiawy serdecznie i polecamy się modlitwom.

W miłości Jezusa oddany sługa w Chrystusie

X. Mazurkiewicz.

Z listów X. Franciszka Chylaszka.

Parana, Orleans. *4 lipca 1919.*

W sam dzień Nawiedzenia M. Boskiej 2 lipca raniutko nawiedził mnie list Księdza Wizytatora. Jaką radość mnie i towarzyszowi mojemu, X. Gertnerowi sprawił, to się wy-

razić nie da, że po latach długiej zawieruchy znowu pomost między drogim Krakowem umożliwiony.

Na wstępie bardzo Najprz. X. Wizytatora przepraszam za to, żem nie pisywał. Niech choć w cząstce usprawiedliwi mnie tutejsza wojenna cenzura, do niebywałej przesady posunięta; gdy Brazylia przyłączyła się do wojny urzędowo, w gazetach zostało ogłoszone, że do Europy listów się nie przyjmuje i tak było. Cenzura obecnie zniesiona jest tylko w kraju, dla zagranicy trwa dalej mimo podpisania warunków pokoju. List Najprz. X. Wizytatora nie był cenzurowany we Francyi, skąd wyszedł, lecz tu.

W czasie wojny początkowo było nam dobrze i bezpiecznie; gdy jednak Brazylia przyłączyła się do wojny, groziło nam niebezpieczeństwo prześladowania i rugowania z parafii, jak to miało miejsce z księżmi Niemcami. Bili na nas w gazetach i ulotnych broszurach wolnomularze i liberali polscy. Bóg dobry jednak to odwrócił z chwilą, gdy Polska przyłączyłą się do aliantów; do dziś dnia używamy spokoju i bezpieczeństwa. Ważniejszem wydarzeniem z czasów tych niebezpieczeństw było urzędowe zamknięcie szkoły Sióstr w Thomas Coelho i zakaz uczenia po polsku; los ten miał spotkać wszystkie szkoły w Paranie, co jednak nie nastąpiło dzięki wielkim staraniom Dra Kossobudzkiego, który jest profesorem na uniwersytecie kurytybskim (bo już jest uniwersytet).

Dalej byliśmy tu i ówdzie w gazetach brazylijskich zaczepiani n. p. ja byłem kłamliwie opisany i nazwany „boche“ (czytaj „bosze“), który to epitet dawano wszystkim tutejszym Niemcom. Na tem się też wszystko skończyło.

Powodzi nam się dobrze do obecnej chwili; dokuczyła nam tylko niebywała drożyzna artykułów żelaznych, materyi na ubrania, mąki na chleb, cukru, mięsa. Cukier zdrożał wskutek niebywałego mrozu, który zniszczył plantacye trzciny cukrowej. Za to uprawiamy z b. dobrym skutkiem pszenicę od 3 lat, co nam chleb powróciło...

Na tem niniejszy list kończę, bo częstszych listów przesyłać nie wolno; za kilka dni poślę ciąg dalszy.

Z listu X. Bronnego do X. Wizytatora.

Parana, Prudentopolis. *22 grudnia 1919.*

Tego roku mamy wielkie upały, żniwo żyta i pszenicy prawie że zniszczało, z powodu częścią posuchy a później w czasie żniwa wskutek deszczów. Szarańcza w tym roku rozlała się prawie po całej połudn. Brazylii; w naszym Stanie szkód wielkich nie wyrządziła, ale Sao Paulo, Minas Geraes dużo ucierpiały. Nasza kolonia tego roku dzięki Bogu jest wolna od tej plagi. W zeszłym tygodniu zjechał do Parany prezydent Stanowy ze Sao Paulo, Altino Arantes, gorliwy katolik; zwiedzał Kurytybę, odwiedził też Orleans, był w kościele i na plebanii.

W tych dniach oczekujemy przybycia konsula p. Kaz. Głuchowskiego do Kurytyby, który wyjechał 9 grudnia br. z Neapolu okrętem „Sophia". Sprawiają mu wspaniałe przyjęcie; nic dziwnego boć to pierwszy przedstawiciel Polski.

Bolszewizm i tu znalazł swój oddźwięk. Przewieleb. X. Biskup wrócił w połowie listopada z Rzymu i przywiózł dla wszystkich naszych domów i Sióstr błogosławieństwo papieskie especial; rozmawiał pono w Rzymie z Księciem biskupem Sapiehą, żeby mu nie zabierał X. Wizytator Misyonarzy; także z naszym prokuratorem przy Stolicy Apostolskiej.

Ś. p. Siostra Wizytatorka Giersberg.

Dnia 17-go lutego 1920 roku w Uroczystość Błog. Franciszka Clet'a, powołał Bóg do siebie po krótkiej, bo zaledwie 10 dniowej chorobie ś. p Siostrę Bronisławę Giersberg, Wizytatorkę Prowincyi Chełmińskiej. Śmierć okryła żałobą nietylko Zgromadzenie, ale odbiła się bolesnym echem w sercach tysięcy osób, gdyż ś. p. Siostra Wizytatorka umiała dobrocią serca, uprzejmością i cnotami swemi, zjednać sobie szacunek i miłość ogólną.

Ś. p. Siostra Wizytatorka Giersberg urodziła się 21-go marca 1845 w Chwaliczewie pod Krotosznem w Księstwie Poznańskiem. Pochodziła z rodziny zamożnej i odebrała staranne, a przedewszystkiem głęboko religijne wychowanie. Bóg wybrał sobie duszę tę od zarania i prowadził ją niezwykłemi drogami, jak to zwykł był czynić z duszami, mającemi Mu służyć za narzędzie do spełnienia rzeczy wielkich.

Mając lat 7 otrzymała Sakrament Bierzmowania; od tej chwili miłość Boża zawładnęła sercem młodej dziewczynki i wówczas już, choć niewyraźnie jeszcze, poczuła powołanie do wyłącznej służby Bożej.

Ojciec ś. p. Siostry Giersberg, człowiek zacny, był nam wcale obcy tak wiarą jak i narodowością. Ukochana Siostra nasza cierpiała nad tem i będąc dzieckiem jeszcze wstawała nieraz w nocy, gdy wszyscy zasnęli, a leżąc krzyżem przy swojem łóżeczku modliła się gorąco o nawrócenie taty. Bóg wysłuchał próśb jej, bo ojciec jej nawrócił się na łożu śmierci, oświadczając, że pragnie umierać w wierze katolickiej, o prawdziwości której przekonało go dostatecz-

nie cnotliwe i przykładne życie jego małżonki. Nasza Siostra miała lat 12, gdy Bóg zabrał jej ojca i od tėj pory rozpoczęło się dla niej życie pełne poważnych obowiązków.

Matka jej, zmuszona zająć się zarządem majątku, oddała dwunastoletniej Broni troskę o wychowanie młodszego rodzeństwa, a Siostra nasza, sama jeszcze dziecko, jak najlepiej wywiązała się z powierzonego jej zadania. Nowe te obowiązki wyrabiały w niej pewną samodzielność, stanowczość i energię, które w późniejszym życiu, tak bardzo jej były potrzebne na stanowisku, na jakie Bóg ją przeznaczył.

Mając lat 21 wstąpiła do Zgromadzenia, z wielkim żalem matki, której ciężko rozstać się było z swą ukochaną córką; widząc w niej wszakże prawdziwe powołanie do życia zakonnego, uległa jej prośbom i sama odwiozła ją do postulatu. Ś. p. Siostra Wizytatorka lubiła opowiadać jeden szczegół z tego okresu życia swego; otóż matka jej, gdy już przestąpić miały furtę klasztorną, rzekła do niej: „Dziecko moje, namyśl się jeszcze dobrze i wróć ze mną do domu, mam bowiem przeczucie, że wiele tu cierpieć będziesz". Na te słowa matki kochana Siostra nasza energicznie nacisnęła klamkę u drzwi mówiąc: „Ja chcę cierpieć dla Pana Jezusa" i ze słowami temi przestąpiła próg klasztorny. Bóg nieszczędził jej cierpień, które ona wszakże mężnie z miłości dla Niego znosić umiała, krzepiąc się myślą, że przyszła przecież do Zgromadzenia z pragnieniem cierpienia.

W postulacie powierzono jej pielęgnowanie chorej na ospę. Młoda niedoświadczona, a pełna gorliwości postulantka służyła biednej tej kobiecie z poświęceniem, ale już po dniach kilku uległa zarazie i długie tygodnie przeleżała beznadziejnie chora.

Powróciwszy z Seminaryum z Paryża przeznaczoną została jako nauczycielka, a później jako kierowniczka pensyi wyższej, jaką wówczas utrzymywały Siostry nasze w Chełmnie. Z zapałem oddała się pracy nad wychowaniem panienek, umiała sobie pozyskać miłość i zaufanie swych uczennic, które z wdzięcznością i uznaniem dotąd ją wspominają.

W roku 1874. Siostra Wizytatorka Hanke, złożona chorobą, zamianowoła młodą, bo zaledwie 28 lat liczącą Siostrę Giersberg asystentką prowincyi. Ciężkie to i trudne było to zadanie na jej młode siły, wskutek bowiem choroby Siostry Wizytatorki Hanke cały ciężar zarządu domu Chełmińskiego, a poczęści także prowincyi, spoczywał na jej barkach. Były to czasy walki kulturnej, prześladowanie religijne dosięgło i Zgromadzenia naszego. Rząd pozamykał nam szkoły i ochrony, poodbierał sieroty, a znaczna ilość Sióstr szukać musiała schronienia w sąsiednich prowincyach. Młoda Siostra asystentka, kochając gorąco Zgromadzenie, cierpiała nad tym jego upadkiem, który tem więcej odczuwała, że jej właśnie w udziale przypadła ta smutna misya wywożenia biednych Sióstr wygnanek i widok żalu i łez, jaki po sobie wszędzie pozostawiały.

Pełna energii wszakże, nie dała opanować się smutkowi, ale starała się o utrzymanie i podniesienie dzieł przez rząd nam pozostawionych i pracowała niestrudzenie, o ile mogła, nad przeprowadzeniem pewnych ulepszeń w domu centralnym.

W roku 1887 mianowaną została Siostrą Służebną w szpitalu Przemienia Pańskiego, gdzie pozostała aż do roku 1894. Były to, jak często lubiła powtarzać, najszczęśliwsze lata jej życia. Siostry Przemienienia Pańskiego, już wznacznej podówczas liczbie, tworzyły jedną kochającą się rodzinę, a Siostra Służebna, zawsze pierwsza tam, gdzie praca i obowiązek, dzieliła na równi z niemi wszystkie trudy nieodłączne od powołania naszego. Ale i zewnętrzny wygląd szpitala podniósł się dzięki jej staraniom; przebudowała i powiększyła dom, założyła ogród, a przez kupienie małego folwarczku pod miastem, umożliwiła łatwiejsze utrzymanie i wyżywienie chorych, którym okazywała zawsze wielką miłość i poświęcenie.

W tej pracy cichej i zbożnej upłynęło ś. p. Siostrze Giersberg lat 7; nadszedł rok 1894, w którym to po śmierci Siostry Hanke wybraną została na wizytatorkę prowincyi

Chełmińskiej. Na tem stanowisku rozwinęła w całej pełni błogą działalność swoją, przyczyniając się tak do zewnętrznego jako i moralnego rozwoju prowincyi. 25 letni jubileusz Wizytatorstwa, który właśnie w roku zeszłym obchodziła, dał sposobność do ocenienia tego wszystkiego, co przez szereg lat dzięki nie zwykłym zdolnościom swoim, nadzwyczajnej energii i niestrudzonej pracy dla prowincyi Chełmińskiej zdziałała.

Zaraz na wstępie urzędowania napotkała na wielkie trudności. Chcąc podnieść dom Centralny i odpowiedzieć wymaganiom ówczesnym potrzeba było nie jedno zmienić, naprawić, a tu w kasie było zaledwie kilka marek. Ś. p. Siostra Giersberg nie zniechęcała się wszakże, ale silną dłonią ująwszy ster prowincyi, z właściwą sobie energią i ufnością w pomoc Bożą zabrała się do pracy, której Bóg widocznie błogosławił, o czem świadczą nowe gmachy, wzniesione na miejscu budynków rozsypujących się w ruinę, a dające przytułek licznym chorym, starcom, sierotom i nędzy wszelkiego rodzaju. Bez przesady powiedzieć można, że przebudowała miliony, a opatrzność Boża w cudowny sposób dawała jej ku temu fundusze, tak że żadnych ciężarów zaciągać niepotrzebowała.

Obdarzona duchem organizacyjnym, przedsiębiorcza i niestrudzona w pracy odważnie zdążała do wytkniętego sobie celu, a wrodzoną swą uprzejmością i taktem jednała sobie nieprzychylne umysły i niejedną zażegnała burzę wiszącą nad nami ze strony rzadu niemieckiego, bardzo nieprzychylnie usposobionego do Zgromadzenia naszego.

Ale nietylko zewnętrzne sprawy stanowiły Jej troskę, myślała i pracowała także nad duchowem rozwojem Zgromadzenia i nad utrzymaniem wśród ducha św. Wincentego. Jej staraniem zostało otwarte seminaryum w Chełmnie, zamnięte przez rząd w czasie walki kulturalnej i odtąd młode Siostry korzystać mogły z nauk udzielanych im w ojczystym języku i sposobić się tutaj do przyszłego posłannictwa, które ich czekało. Do końca życia szczególną troskliwością otaczała te

najmłodsze dzieci Zgromadzenia, miewając często do nich instrukcye, rekolekcye przed wzięciem św. sukni i starając się przygotować je do życia ofiary i krzyżyków, czekających je w życiu późniejszym.

Młode Siostry, będące w domu centralnym, sama przygotowywała do 1-szych ślubów św. wykładałąc im katechizm i nie szczędząc im cennych rad i wskazówek.

Przewodniczyła też do ostatka licznym seryom rekolekcyi rocznych, z wielką dobrocią przyjmując Siostry, wnikała w ich potrzeby z miłością macierzyńską, pocieszając, podnosząc na duchu i zachęcając do dobrego. Liczba powołań podwoiła się przez czas jej wizytatorstwa, a dla wszystkich Sióstr miała serce dobrej matki, żywy biorąc udział w radościach i smutkach każdej z nich.

Cechą jej życia była ta głęboka, prawdziwa cnota, nierzucająca się w oczy, ale przenikająca wszystkie najdrobniejsze nawet uczynki i zajęcia, ta cnota codzienna, wymagająca nieraz więcej heroizmu, wysiłku i zaparcia się siebie niż rozgłośne, miłości własnej schlebiające czyny.

Wierność jej w zachowaniu reguł św. i zwyczajów Zgromadzenia była budująca. Mimo podeszłego wieku i choroby, niszczącej zwolna jej organizm, zawsze pierwsza była na nogach o godzinie 4-tej, pierwszą była także na wszystkich ćwiczeniach Zgromadzenia, starając się załatwić różnorodne interesa i przymusowe stosunki z osobami świeckimi w ten sposób, by jej nie były przeszkodą w sprawach Bożych.

Z duchem wiary i zupełną uległościa przyjmowała wszelkie zlecenia Przełożonych, czcząc i szanując jako następców św. Wincentego i chwalebnej Matki.

Wielka prostota cechowała całe jej postępowanie i wzbudziła to zaufanie, z którem udawali się do niej wszyscy, przekonani będąc, że każdej chwili znajdą ją gotową na swe usługi; słuchającą z dobrocią ich wynurzeń, mimo wielkiego nieraz zmęczenia i rozlicznych trosk własnych.

Zapominała o sobie, by stać się wszystkiem dla wszystkich; miała serce otwarte na wszelką nędzę ludzką, kochała ubogich, przemawiała do nich zawsze z szacunkiem i miłością, rozdawała im sama jałmużny i żaden potrzebujący nie odszedł z klasztoru nie otrzymawszy wsparcia i pociechy.

Pracowniczka niestrudzona do ostatniej chwili trwała wiernie na posterunku, nie pozwalając sobie na żadne zwolnienia lub wygody, słusznie jej się ze względu na wiek i słabość należące. Pierwszego dnia choroby, z której już powstać nie miała, jak zwykle była jeszcze na rannym pacierzu i dopiero po przyjęciu komunii św. położyła się do łóżka.

Na śmierć gotowała się od dawna, a w ostatniej chorobie z upragnieniem wyglądała wyzwolenia z więzów tego ciała, z tęsknotą wznosząc serce swe do Boga, któremu tak wiernie życie całe służyła. Z budującą pobożnością przyjęła sakramenta św. w przeddzień śmierci, a na kilka chwil przed zgonem łączyła się jeszcze z modlitwami Sióstr odmawiających pacierze za konających.

Umarła spokojnie, prawie bez konania, pozostawiając po sobie żal głęboki i przykład wzniosłych cnót św. powołania naszego. Słusznie też do niej zastosować można pochwały oddane w Piśmie św. mężnej niewieście, gdyż uczynki jej chwalą ją i chwalić nie przestaną.

Bóg powołał ją do siebie w chwili, gdy rozwój dzieł i nowo powstających Domów w wolnej Ojczyźnie naszej, tak bardzo potrzebował jej doświadczonego i światłego kierunku, ale ufajmy, że u tronu Boga wstawiać się za nami będzie i wypraszać nam łaski potrzebne, abyśmy żyć i pracować umiały jako prawdziwe Córki Miłosierdzia.

Spis domów i osób prowincyi polskiej z dnia 1 stycznia 1920.

Domów:	w Polsce	14
„	w Ameryce Północnej .	4
„	w Ameryce Południowej	7
	Razem . . .	25

Członków Zgromadzenia:

	Księży	Kleryków	Braci	Razem
W Polsce	95	53	43	191
W Ameryce północnej .	15	—	2	17
W Ameryce południowej	17	—	1	18
Razem	127	53	46	226

Kraków, Stradom 4.	Ur.	Pow.	Święc.
1. X. Słomiński Kasper, Wizytator .	1869	1886	1892
2. X. Kryska Józef, Superyor . . .	1869	1887	1894
3. X. Lewandowski Czesław . . .	1864	1884	1889
4. X. Weiss Antoni	1874	1892	1899
5. X. Bieniasz Wiktor (w Chełmnie) .	1875	1894	1901
6. X. Masny Andrzej (kapelan wojsk.)	1877	1895	1902
7. X. Michalski Konstanty	1879	1896	1903
8. X. Krauze Józef (w Sandomierzu) .	1879	1898	1906
9. X. Jaworek Jan	1881	1898	1906
10. X. Wroński Maksymilian . . .	1881	1898	1906
11. X. Michalski Karol	1881	1898	1906
12. X. Dembiński Paweł	1888	1906	1913
13. X. Dylla Paweł	1889	1906	1913

14.	X. Swałtek Józef	1888–1906–1913
15.	X. Jęczmionka Wacław (w Chełmnie)	1886–1908–1916
16.	X. Kurtyka Paweł	1891–1909–1915
17.	X. Wagner Jan	1892–1910–1919
18.	X. Moska Ludwik	1893–1911–1918
19.	X. Pieniążek Jan	1894–1911–1918
20.	X. Musiał Kazimierz	1892–1911–1919
21.	X. Orszulik Alojzy	1897–1912–1919
22.	X. Wawak Karol	1897–1912–1919
23.	X. Krauze Ignacy	1896–1912–1919

Klerycy:

1.	Matelski Franciszek . . .	1891–1910
2.	Sinka Jan	1892–1910
3.	Cechol Józef (subdyak.) . .	1892–1911
4.	Zabrzeski Ignacy	1893–1911
5.	Sojka Szymon	1892–1911
6.	Loroch Piotr	1893–1912
7.	Myszka Jan	1894–1912
8.	Warkocz Paweł (subd.) . .	1894–1912
9.	Baron Józef (subd.) . . .	1895–1913
10.	Porzycki Stanisław . . .	1897–1913
11.	Kwiatkowski Kazimierz . .	1896–1913
12.	Stopka Józef	1897–1913
13.	Olszówka Piotr	1896–1915
14.	Knapik Wacław	1897–1915
15.	Rzychoń Karol	1894–1915
16.	Kledzik Józef	1897–1915
17.	Kozłowski Wiktor	1897–1915
18.	Warchoł Franciszek . . .	1897–1916
19.	Błachuta Stanisław. . . .	1899–1916
20.	Ziebura Franciszek . . .	1897–1916
21.	Pawellek Pius	1895–1916
22.	Niesłony Bernard	1900–1916
23.	Pająk Michał	1897–1916
24.	Wysocki Teodor	1899–1916

25. Pustelnik Julian . . . . . 1899—1916
26. Zając Wincenty . . . . . 1899—1917
27. Kaing-Ba Józef . . . . . . 1900—1917
28. Łukaszczyk Józef . . . . . 1902—1917
29. Kałążny Stanisław . . . . . 1898—1917
30. Kranc Wojciech . . . . . 1900—1917
31. Śmidoda Hieronim . . . . 1899—1917
32. Willim Franciszek . . . . . 1899—1917
33. Pałka Jan . . . . 1901—1918
34. Ciszowski Jan . . . . . . 1901—1918
35. Pawłowski Leopold . . . . 1901—1918
36. Pitlok Ludwik . . . . . . 1899—1917
37. Konieczny Augustyn . . . . 1898—1919
38. Myszka Antoni. . . . . . 1897—1920
39. Błażków Józef . . . . . . 1902—1919
40. Paczyński Franciszek . . . . 1902—1919
41. Śleziona Franciszek . . . . 1901—1919
42. Jędrychowski Jan . . . . . 1899—1919
43. Wiejaczka Józef . . . . . 1901—1919
44. Chodura Jan . . . . . . 1899—1919
45. Świerczek Leon . . . . . 1900—1919
46. Wójciak Franciszek . . . . 1902—1919

W służbie wojskowej:

47. Łajp Teodor . . . . . . 1894—1913
48. Pakalski Albin . . . . . . 1894—1913
49. Pałędzki Bolesław . . . . . 1898—1915
50. Pilarski Piotr . . . . . . 1900—1917
51. Gładyszewski Apolinary . . 1898—1916
52. Wawrzkiewicz Tadeusz . . 1901—1918
53. Dewor Wiktor 1901

Bracia:

1. Buława Piotr . . . . . . 1851—1892
2. Voss Józef . . . . 1873—1903
3. Lorenz Józef (br. Paweł) . . 1882—1905

4. Grzanka Wawrzyniec . . . 1891 – 1911
5. Wojas Franciszek . . . . 1893 – 1919
6. Woszczak Paweł . . . . 1893 – 1918
7. Giemza Jakób . . . . . 1903 – 1918
8. Doktorski Aleksander . . . 1898 – 1919
9. Paluszyński Czesław . . . 1899 – 1919
10. Gawor Paweł . . . . . 1892 – 1919
11. Juszczak Karol . . . . . 1899 – 1919
12. Konieczny Kazimierz . . . 1902 – 1920
13. Szusterkiewicz Floryan . . 1899 – 1920
14. Boruta Franciszek . . . . 1902 – 1920
15. Muzalewski Ludwik (w Bugaju) 1883 – 1902
16. Bogacz Wojciech (w Bugaju). 1874 – 1903

W służbie wojskowej:

17. Kołkowski Tomasz . . . 1888 – 1914
18. Ruszczycki Władysław . . 1897 – 1918
19. Porębski Mateusz . . . . 1901 – 1918

Kraków, Kleparz:

1. X. Bączkowicz Franciszek, Superyor 1877 – 1894 – 1901
2. X. Wdzięczny Melchior . . . . 1839 – 1858 – 1863
3. X. Ciopalski Walenty . . . . 1864 – 1882 – 1887
4. X. Dudek Stanisław . . . . . 1871 – 1887 – 1894
5. X. Linkert Augustyn . . . . . 1871 – 1890 – 1898
6. X. Sobawa Bernard . . . . . 1874 – 1893 – 1900
7. X. Odrobina Alojzy . . . . . 1878 – 1893 – 1900
8. X. Lach Lucyan . . . . . . 1878 – 1894 – 1901
9. X. Szymbor Wilhelm . . . . 1879 – 1896 – 1903
10. X. Rybka Ludwik (w Gdyni) . . 1880 – 1898 – 1906
11. X. Witaszek Konstanty . . . . 1880 – 1898 – 1906
12. X. Marzotko Mateusz . . . . 1882 – 1900 – 1908
13. X. Bibrzycki Filip . . . . . 1881 – 1905 – 1909
14. X. Lorek Jan (w zakł. X. Siemaszki) 1886 – 1905 – 1911
15. X. Piasecki Adam . . . . . 1887 – 1905 – 1911
16. X. Świerczek Wendelin (kap. wojsk.) 1888 – 1906 – 1913

17. X Graczyk Sylwester . . . . 1885 – 1906 – 1913
18. X. Korolczuk Seweryn (w Czerny). 1888 – 1908 – 1915
19. X. Petrzyk Tadeusz . . . . . 1894 – 1910 – 1917
20. X. Wojtaszak Michał. . . . . 1894 – 1910 – 1917

Bracia:

1. Zamelczak Kasper . . . . 1861 – 1887
2. Myśliński Walenty. . . . 1865 – 1910
3. Węgrzyn Michał (w Czerny). 1867 – 1897
4. Krzywdziński Michał (br. Jacek) 1871 – 1900
5. Janicki Julian (zakł. Siemaszki) 1867 – 1902
6. Kamiński Cezary . . . . 1884 – 1908
7. Gut Kazimierz (zakł. Siemaszki) 1891 – 1909

Kraków, Nowa Wieś:

1. X. Dihm Jan, Superyor . . . . 1868 – 1886 – 1891
2. X. Rzymełka Jan . . . . 1877 – 1895 – 1902
3. X. Zieliński Józef. . . . . . . 1877 – 1896 – 1903
4. X. Sinka Augustyn . . . . . . 1888 – 1906 – 1913
5. X. Obtułowicz Gustaw . . . . 1894 – 1909 – 1916
6. X. Zieleźnik Alojzy . . . . . . 1887 – 1908 – 1916
7. X. Niemkiewicz Bronisław . . . 1894 – 1910 – 1917
8. X. Orszulik Józef. . . . . . . 1896 – 1911 – 1918

Bracia:

1. Derc Franciszek (br. Walenty) 1871 – 1901
2. Gołębiowski Franciszek . . 1880 – 1905
3. Czyżewski Wojcieeh . . . 1897 – 1919

Biały Kamień:

1. X. Wrodarczyk Wilhelm . . . 1868 – 1887 – 1894
2. X. Wrodarczyk Józef. . . . . 1890 – 1908 – 1915
3. X. Tomaszewski Czesław . . . 1891 – 1909 – 1916

Bracia:

1. Majsterek Antoni (br. Gabryel) 1878 – 1906

Jezierzany:

1. X. Wrodarczyk Franciszek . . . 1874—1893—1900
2. X. Słupina Józef . . . . 1880—1898—1906

Bracia:

1. Kozłowski Michał . . . . . 1875—1904

Kaczyka:

1. X. Grabowski Wojciech. . . . 1873—1891—1898
2. X. Wochowski Henryk (w Sołońcu) 1881—1898—1906

Lwów, Dwernickiego 48.

1. X. Krzyszkowski Stefan, Syperyor . 1867—1886—1891
2. X. Sołtysik Tomasz . . . . . . 1870—1890—1897
3. X. Mixa Paweł . . . . 1874—1892—1898
4. X. Bielawski Zygmunt . . . . 1877—1894—1901
5. X. Zabrzeziński Andrzej. . . . 1876—1894—1901
6. X. Leńko Józef (kapelan wojsk.) . 1882—1898—1906
7. X. Skrzydelski Antoni . . . . 1883—1900—1908
8. X. Leśniowski Stanisław. . . . 1884—1905—1909

Bracia:

1. Dybizbański Karol. . . . 1861—1896
2. Drygas Jan . . . . 1884—1918
3. Kwiatkowski Jan . . . . 1889—1914

Lwów, Małe Seminaryum archidyecezalne.

1. X. Janiewski Grzegórz, Superyor . 1889—1910—1915
2. X. Feicht Hieronim . . . . . 1894—1909—1917

Milatyn Nowy.

1. X. Buchhorn Franciszek, Superyor. 1864—1885—1889
2. X. Niesłony Józef. . . . . . . 1889—1908—1915
3. X. Wiśliński Jan . . . . 1892—1911—1918

Bracia:

1. Uruski Władysław. . . . 1872—1897
2. Cerkowniak Antoni (br. Alojzy) 1872—1898

Odporyszów.

1. X. Steinsdorfer Rudolf, Superyor . 1881—1897—1903
2. X. Dziewior Emanuel . . . . 1871—1890—1897
3. X. Olszówka Teodor. . . . . 1892—1910—1917

Bracia:

1. Kołkowski Jan (br. Feliks) . 1883—1907

Pabjanice.

1. X. Szulc Bartłomiej, Superyor . . 1875—1894—1901
2. X. Kalla Stanisław . . . . . . 1887—1905—1911
3. X. Weiss Rufin . . . . 1890—1909—1916
4. X. Głowała Paweł . . . . . . 1892—1908—1916

Tarnów.

1. X. Rossmann Jan, Superyor. . . 1865—1885—1889
2. X. Król Hugo (kapelan wojsk.) . 1874—1892—1899
3. X. Brukwicki Piotr . . . . . . 1873—1893—1900
4. X. Gintrowski Hieronim . . . 1878—1898—1906
5. X. Mierzejewski Władysław. . . 1879—1898—1906
6. X. Dudziak Ignacy . . . . . . 1885—1905—1911

Bracia:

1. Krasicki Jan (br. Ludwik). . 1850—1872
2. Nędzyński Franciszek (br. Kaz.) 1861—1892
3. Kaczmarek Józef . . . . 1884—1913

Warszawa, św. Krzyż.

1. X. Tyczkowski Stanisław, Superyor 1867—1885—1889
2. X. Paszyna Jan . . . . 1881—1900—1908
3. X. Petrzyk Leopold . . . . . . 1889—1905—1912
4. X. Griglyak Michał . . . . . . 1891—1908—1915
5. X. Hładki Franciszek . . . . 1894—1910—1917
6. X. Szadko Stanisław . . . . . . 1894—1911—1918

Bracia:

1. Fedzin Józef (br. Stanisław) . 1873—1898

Warszawa, Konwikt.

1. X. Gaworzewski Józef, Superyor . 1873—1890—1897
2. X. Sowiński Józef (na Tamce) . . 1877—1895—1902
3. X. Weissmann Jan (sem. archidyec.) 1877—1895—1902
4. X. Michalski Wilhelm . . . . . 1879—1896—1903
5. X. Wilhelm Lucyan . . . . . . 1896—1911—1918

Bracia:

1. Grześko Franciszek . . . 1866—1888
2. Ostrowski Teofil . . . . . 1878—1917

Ameryka Północna, Erie (Pa).

1. X. Głogowski Jerzy, Superyor . . 1872—1891—1898
2. X. Włodarczyk Stanisław . . . 1875—1893—1900
3. X. Król Stefan . . . . 1875—1893—1900
4. X. Kołodziej Eugeniusz . . . . 1877—1894—1901
5. X. Słupiński Marcel . . . . . 1877—1895—1902
6. X. Janowski Józef (kapelan wojsk.). 1878—1896—1903
7. X. Tyżyński Konrad . . . . . 1884—1905—1909
8. X. Sadowski Michał . . . . . 1881—1905—1909
9. X. Binna Augustyn . . . . . 1887—1906—1913

Bracia:

1. Olczak Józef . . . . . . 1868—1892
2. Kudlek Marcin . . . . . 1866—1893

Derby, (Conn.).

1. X. Waszko Paweł, Superyor . . 1873—1892—1898
2. X. Studziński Józef . . . . . 1887—1905—1911

New Haven (Conn.), 9 Eld Street.

1. X. Mazurkiewicz Antoni, Superyor. 1877—1898—1903
2. X. Cepurski Jan . . . . 1887—1905—1911

Philadelphia (Pa).

1. X. Trawniczek Franciszek, Superyor 1873—1891—1898
2. X. Konieczny Stanisław . . . . 1876—1892—1899

Brazylia, Parana, Orleans

1. X. Chylaszek Franciszek, Superyor . 1874 – 1892 – 1899
2. X. Gertner Walenty . . . . . . 1884 – 1908 – 1913

Abranches.

1. X. Komander Franciszek, Superyor 1885 – 1900 – 1908
2. X. Weiss Anicet . . . . 1883 – 1905 – 1911

Prudentopolis.

1. X. Bronny Ludwik, Superyor . . 1877 – 1896 – 1903
2. X. Ździebło Franciszek . . . . 1883 – 1900 – 1908
3. X. Kania Tomasz. . . . . . . 1883 – 1905 – 1911

Rio Claro.

1. X. Kandora Sylwester, Superyor . 1877 – 1896 – 1903
2. X. Wróbel Jan . . . . 1881 – 1900 – 1908
3. X. Piasecki Stanisław (w Agna Branca) 1885 – 1905 – 1911

Thomas Coelho.

1. X. Bayer Bolesław, Superyor . . 1865 – 1884 – 1889
2. X. Mięsopust Jacek (w Ijuhy) . . 1873 – 1891 – 1898
3. X. Zygmunt Jan . . . . 1878 – 1895 – 1902

Bracia:

1. Węgrzyn Aleksander . . . 1871 – 1893

Sta Catharina. Itayopolis.

1. X. Kominek Jan, Superyor . . . 1877 – 1895 – 1902
2. X. Olszówka Jan . . . . 1885 – 1905 – 1911

Rio Vermelho.

1. X. Góral Józef, Superyor . . . 1873 – 1892 – 1899
2. X. Malik Jakób . . . . 1885 – 1905 – 1909